# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 2150 — Mk., z przes. 2470 — Mk. Półrocznie 4940 — Mk. Rocznie 9880 — Mk. Ameryka: 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 20., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 50.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.

Naczelny i odpowiedzialny redaktor: Julian Bartoszewicz.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

Numer pojedynczy 200 Marek.

Rok XIX. Kraków, 16 września 1922. Nr. 37.


# Jak za czasów Inkwizycyi



Konfrontacya w biurze piotrogrodzkiej czerezwyczajki kontrrewolucyonisty z głową zamordowanego przez bolszewików Jerzego Germana.

## Jak za czasów Inkwizycyi.

(Do illustracyi tytułowej.)

Czytając w historyi wspomnienia z czasów Inkwizycyi, doznajemy bardzo przykrego wrażenia i poprostu wierzyć nie chcemy, że ludzie zdolni byli do podobnego znęcania się nad swojemi ofiarami. Te krwawe karty z dziejów bledną jednak wobec tych wieści, jakie dochodzą do nas z sowieckiej Rosyi, gdzie w dwudziestem stuleciu rzekomo w imię wolności morduje się ludzi całymi tysiącami. Urzędowy wykaz rządu sowieckiego wykazuje dotąd przeszło półtora miliona ofiar, które na mocy wyroków bolszewickich siepaczy skazano na śmierć, jako posądzone o wrogie usposobienie wobec ruchu bolszewickiego. Ogromna ich większość to przedstawiciele inteligencyi, której rosyjski komunizm wydał walkę na śmierć i życie. Osławione „czerezwyczajki“ zebrały tak krwawe pokłosie w ciągu kilku zaledwo lat swojego istnienia, że owa nieszczęsna Inkwizycya, która przetrwała całe wieki, nie może z niemi iść w porównanie. Barbarzyństwo władz sowieckich cofnęło Europę o całe setki lat wstecz i stało się hańbą naszego stulecia. Wystarczyło tylko podejrzenie, że ktoś jest nieprzychylnie usposobiony dla nowego ruchu rewolucyjnego, aby bez śledztwa i sądu pozbawiono go życia. Na nic były wszelkie tłómaczenia się i dowody, na nic wszelka prawna pomoc, bolszewiccy sędziowie i stróże bezpieczeństwa znają dla swych wrogów tylko jedną karę, karę śmierci, która spotyka bardzo często także i zupełnie niewinne, do polityki nie mieszające się jednostki, niemiłe jednak siepaczom, załatwiającym w ten sposób swe osobiste porachunki.

Jedno z pism rosyjskich, wydawanych poza granicami Rosyi donosi o wstrząsającym wypadku konfrontacyi więźnia z trupem. Oto jeden z aresztowanych działaczy antibolszewickich aresztowany został podczas przekradania się przez granicę. Przewieziono go do Piotrogrodu i tutaj poddano badaniom. W toku śledztwa wprowadzono go do ciemnego pokoju i tutaj nagłym ruchem rozsunięto zasłonę, poza którą znajdowała się etażerka, a na niej słój, z którego mętnym zwrokiem spoglądała ucięta głowa niejakiego Jerzego Germana byłego oficera, zwalczającego całą siłą ruch bolszewicki. W czasie jednej z swych wycieczek do Rosyi zdradzony, wydany został w ręce bolszewickie i zamordowany.

Na ten straszny widok zachwiały się nogi pod badanym, znalazł jednak w sobie tyle siły, aby się nie zdradzić, że zna tego kontrrewolucyonistę, gdyż jego czekałby los podobny.

## Otwarcie Targów Wschodnich we Lwowie.

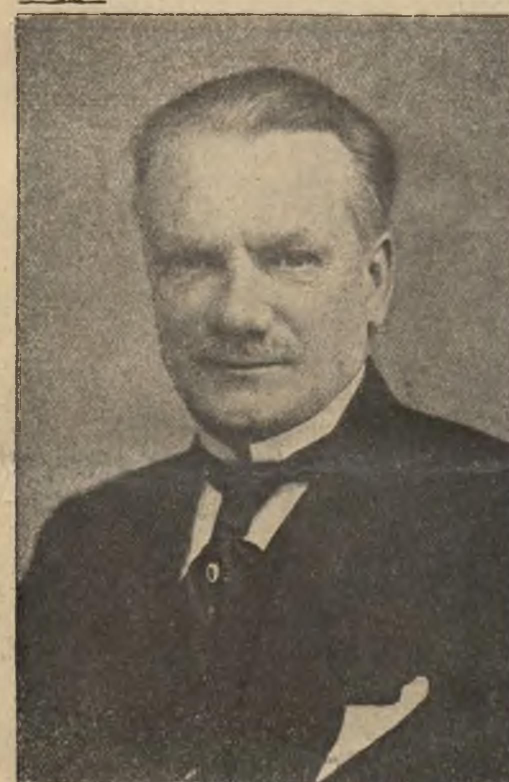
Zeszłoroczne doświadczenie wykazało, że pomysł urządzenia we Lwowie dorocznego jarmarku, nazwanego Targami Wschodnimi“, jest bardzo trafny i dla polskiego handlu i przemysłu ma nadzwyczaj doniosłe znaczenie. Ze względu na swe geograficzne położenie na pograniczu Europy środkowej i wschodniej Lwów nadaje się przedewszystkiem na tego rodzaju przedsięwzięcie, które zresztą



**Otwarcie Targów Wschodnich we Lwowie:** Przemówienie prez. miasta J. Neumanna. (fot. M. Münz, Lwów).



**Otwarcie Targów Wschodnich we Lwowie:** Wiceminister handlu i przemysłu, dr. Strassburger, przemawia podczas uroczystości otwarcia. (fot. M. Münz, Lwów).



**Minister Kamieński w obronie wewnętrznego ładu:** Inż. Antoni Kamieński, minister spraw wewnętrznych.




**Otwarcie Targów Wschodnich we Lwowie:** Dyrektor Targów, Turski (1) oprowadza ministrów Darowskiego (2) i Strassburgera (3) po pawilonach. (fot. M. Münz. Lwów

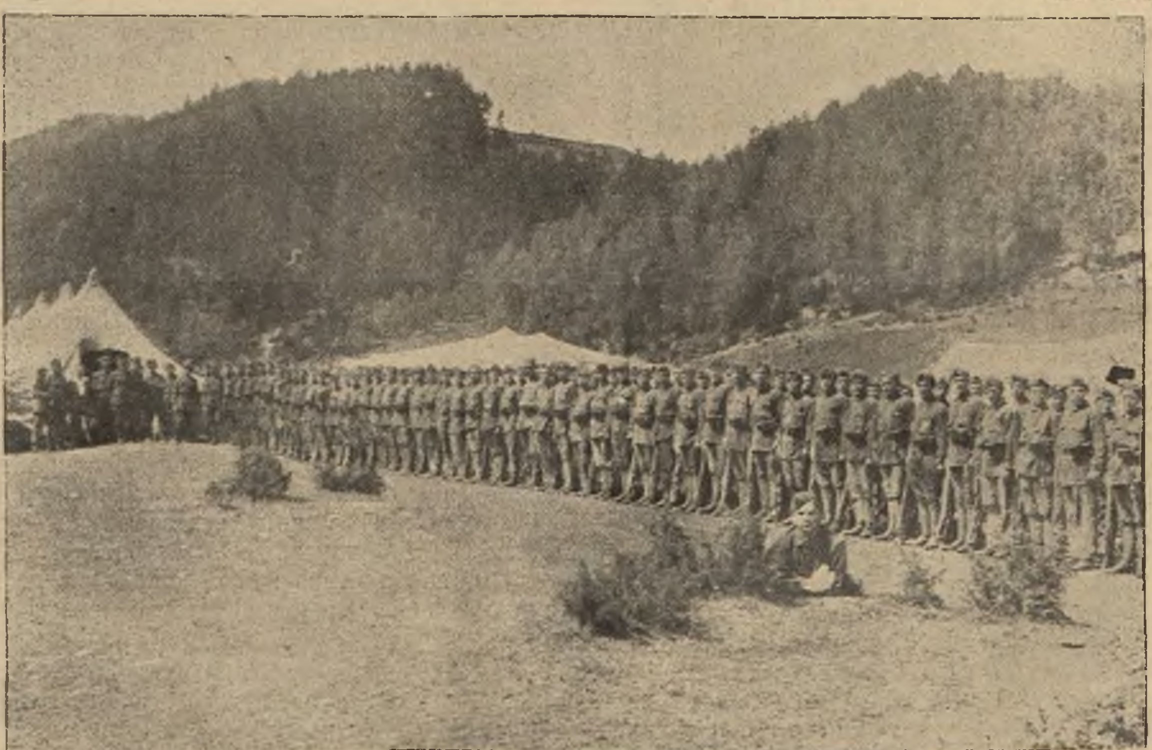
nie jest niczem nowem, lecz jedynie odżyciem dawnej tradycyi, że handel Zachodu ze Wschodem prowadzi w Europie przez Polskę, a centrem jego jest Lwów.

Otwarcie tegorocznych Targów nastąpiło w dniu 5-go września wobec delegatów rządu warszawskiego: min. pracy Darowskiego, kier. min. handlu i przemysłu dr. Strassburgera i wiceministra skarbu Mikuleckiego, przedstawicieli miejscowych władz i instytucyi, ogromnego zastępu kupców i przemysłowców z kraju i zagranicy, oraz tłumów publiczności, których nie odstraszyła niezbyt sprzyjająca pogoda. Szczególniej sympatycznie witaną była misya handlowa francuska z radcą stanu Tirrmanem na czele, oraz delegacya dziennikarzy jugosłowiańskich. Śmiało można powiedzieć, że reprezentowane tutaj były wszystkie narody Europy z wyjątkiem Czechów, którzy abstynencyą swą chcieli zamanifestować swe ukraińskie sympatye.

Do licznie zebranej publiczności przemówił najpierw prezydent m. Lwowa, p. Neumann, omawiając ideowe znaczenie Targów, poczem prezes Targów Wschodnich dyr. Turski przedstawił znaczenie Targów dla Polski i zagranicy jako warsztatu i przeglądu pracy polskiej. Następnie przemawiali: imieniem francusko-polskiej Izby handlowej prezes Bogusław Herse z Warszawy, szef francuskiej sekcyi ekonomicznej radca stanu p. Tirman, który w bardzo serdecznych słowach podkreślił coraz silniejsze węzły, jakie łączą Polskę z Francyą, nietylko na terenie polityki, ale i stosunków gospodarczych. W końcu dr. Strassburger wskazał na wspaniały przegląd siły wytwórczej polskiej, ujawnionej na Targach Wschodnich.

Po przecięciu symbolicznej wstęgi przez dra Strassburgera rozpoczęto zwiedzać pawilony.

W pawilonie Polskiego Banku handlowego, gdzie mieszczą się eksponaty sekcyi francuskiej,



**Zakończenie wakacyjnego kursu w Obozie dla młodzieży pod Rytrem:** Podczas musztry.

przemówił imieniem misyi francuskiej p. Bourou, a następnie p. Gotaut podniósł z radością, iż kiedy w roku przeszłym Francya miała na Targach Wschodnich tylko kilka drobnych stanowisk, to dzisiaj posiada już osobny pawilon. Następnie p. Meggle dzielił się wrażeniami z wycieczki francuskiej, po większych ośrodkach przemysłowych polskich i podnosił imponujące wrażenie, jakiego doznali Francuzi w Polsce, przypatrując się jej naturalnym bogactwom.

W pawilonie syndykatu przemysłowego, gdzie mieszczą się eksponaty austryackie, serdecznie witał gości konsul austryacki, baron Borzian.

## Minister Kamieński w obronie wewnętrznego ładu.

Portfel spraw wewnętrznych w gabinecie prof. Nowaka zatrzymał w dalszym ciągu inż. Antoni Kamieński, powołany na to stanowisko w drugim gabinecie Ponikowskiego, po ustąpieniu Downarowicza. Z okazyi jego nominacyi wyrażała prasa zdziwienie, że w odrodzonej Polsce teka spraw wewnętrznych nie była jeszcze dotąd nigdy powierzona prawnikowi, jak jednak z dotychczasowej działalności ministra Kamieńskiego widoczne, nie trzeba być koniecznie jurystą, aby sprawy tego resortu odpowiednio załatwiać.

Inż. Antoni Kamieński, lat 44, pochodzi z Łodzi. Po studyach w Radomiu brał czynny udział w życiu akademickiem na Uniwersytecie i w Politechnice warszawskiej, gdzie był organizatorem „Zjednoczenia". Kiedy był studentem warszawskiego Uniwersytetu w r. 1897, w Wilnie Moskale wznieśli pomnik na cześć Murawiewa-Wieszatiela, a senat warszawskiego Uniwersytetu wysłał do Wilna nikczemną depeszę gratulacyjną nietylko w imie-



**Otwarcie Targów Wschodnich we Lwowie:** Delegacya Klubu Mieszczańskiego oraz Strzelnicy z królem kurkowym Bol. Lewickim (x). (fot. M. Münz, Lwów).

niu własnem, ale i „młodzieży uniwersyteckiej". Kamieński był między tymi, którzy zorganizowali manifestacyę oburzenia przeciw temu łajdactwu na wykładzie prof. Ziłowa. Relegowany za to z Uniwersytetu wyjechał do Leoben, gdzie skończył akademię górniczo-hutniczą. Pracował na Górnym i Cieszyńskim Śląsku, Morawach, Dolnej Austryi, Dąbrowie Górniczej, w hucie żelaznej Stęporków w powiecie koneckim, ziemi radomskiej. Odgrywał wybitną rolę w komitecie ratunkowym za okupacyi w Lubelszczyźnie. Po wyrzuceniu okupantów objął starostwo w Końskich. Od końca roku 1919 był wojewodą w Łodzi.

Z ogólnem uznaniem spotkał się energiczny krok ministra Kamieńskiego w sprawie usunięcia komendantów Policyi Państwowej w Krakowie i Mławie, świadczący, że władze centralne bardzo poważnie zapatrują się na kwestyę utrzymania w państwie ładu i porządku, co jest bardzo pożądanem zwłaszcza wobec zbliżającego się okresu wyborczego. Ton dekretu, usuwającego obu kierowników policyi z zajmowanych dotąd stanowisk, wskazuje, że minister nie będzie się na przyszłość liczyć z żadnymi względami, lecz wystąpi w każdym wypadku energicznie i stanowczo.

Dekret ów brzmi dosłownie, jak następuje:

Z powodu zajść w Krakowie dnia 31 lipca br. na zgromadzeniu zwołanem przez ZLN. oraz z powodu zajść w Mławie dnia 13 sierpnia na wiecu zorganizowanym przez PPS, zarządziłem dochodzenia. Na podstawie raportów wstępnych dochodzeń poleciłem:



**Zakończenie wakacyjnego kursu w Obozie dla młodzieży pod Rytrem:** Ćwiczenia gimnastyczne.

1) Wszcząć postępowanie dyscyplinarne przeciwko komendantowi policyi państwowej miasta Krakowa oraz przeciwko komendantowi policyi państwowej w Mławie.

2) Komendę policyi m. Krakowa oraz komendę policyi powiatu Mława niezwłocznie powierzyć innym oficerom policyi.

3) Komendanta policyi m. Krakowa i komendanta policyi w Mławie przydzielić tymczasowo aż do ukończenia dochodzeń dyscyplinarnych odnośnym komendantom okręgowym.

Na podstawie przeprowądzonych dochodzeń wstępnych zostało stwierdzone, że wymienieni wyżej funkcyonaryusze policyi nie nadają się na wyższe stanowiska. Komendant policyi miasta Krakowa wyznaczając swego urzędowego zastępcy, po zajściu zaś na zgromadzeniu nie zainteresował się sprawą, ani zachowaniem się policyi w należytym czasie i we wskazanym kierunku.

Komendant policyi powiatu mławskiego przekazał całą pieczę nad wiecem, odbywającym się pod gołem niebem, starszemu posterunkowemu i nie przygotował policyi na wszelki wypadek, chociaż miał większą ilość żołnierzy policyjnych do dyspozycyi z racyi odbywającego się w tym czasie kursu szkoły policyi w Mławie. Z całego zachowania się komendanta policyi w Mławie widocznem jest, że sytuacyi wówczas wytworzonej nie doceniał, posuwając się aż do zdjęcia munduru policyjnego i chodząc po mieście w ubraniu cywilnem.



**Zakończenie wakacyjnego kursu w Obozie dla młodzieży pod Rytrem:** Uczestnicy kursu i ich wychowawcy.

w dniu 31 lipca nie zarządził odpowiedniej służby policyjnej i nie delegował na miejsce zebrania wyższego funkcyonaryusza policyjnego, zaś niższi funcyonaryusze policyjni nie mając żadnych instrukcyi wprowadzali tylko chaos. Komenda policyi była nieczynna w krytycznym momencie, a poszczególne komisaryaty bagatelizowały i z wielkiem opóźnieniem nadesłały nikłe patrole. Komendant policyi m. Krakowa w krytycznym momencie znajdował się w teatrze nie oznajmiając w komendzie policyi miejsca swego chwilowego pobytu, ani nie



**Katastrofa lotnicza w Rakowicach:** Ś. p. Józef Burnagel(x), który zginął śmiercią bohaterską podczas wzlotu. (Zdjęcie dokonane w przeddzień katastrofy).

Komendant policyi mławskiej działał w końcu nadzwyczajnie nieopatrznie, zagradzając sam drogę jednej z grup demonstrantów z rewolwerem w ręku, będąc ubrany po cywilnemu, przez co mógł spowodować nieobliczalne skutki.

Uwzględniając powyższe momenty w zachowaniu się obydwu komendantów, polecam ogłosić to moje pismo w rozkazie dziennym, oraz zarządzić, aby komendanci okręgów policyi państwowej prócz objazdów inspekcyjnych powierzonych im okręgów instruowali podległe sobie organy na czem polega sprawność policyi i aby pouczali, jak wielką rolę w obecnych czasach zgromadzeń przedwyborczych odgrywa wytężona czujność, takt, obowiązkowość i stanowczość korpusu policyi państwowej.

## Zakończenie kursu wakacyjnego
### w Obozie dla młodzieży pod Rytrem.

W poprzednich numerach naszego pisma podawaliśmy już dwukrotnie wiadomości o „obozach wakacyjnych przysposobienia rezerw", urządzonych w roku bieżącym po raz pierwszy na całym obszarze Rzeczypospolitej dla naszej młodzieży

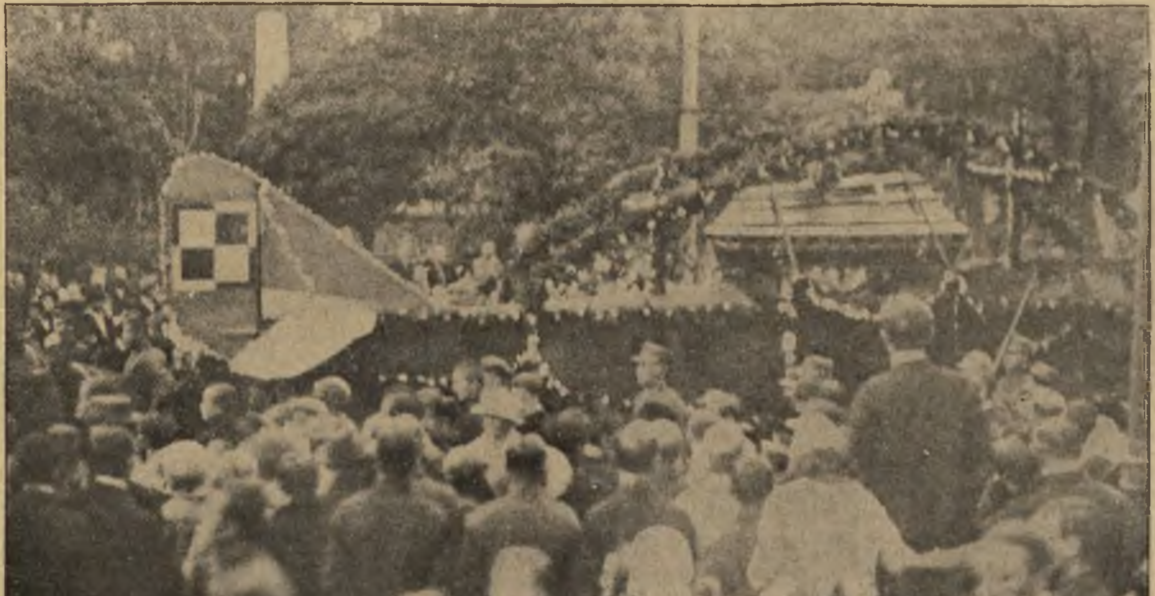


**Z żałobnej kroniki:** Ś. p. Jan Zawiejski.

przez Ministerstwo Spraw Wojskowych w porozumieniu z Ministerstwem Wyznań religijnych i Oświecenia publicznego.

W obrębie Krakowskiego D. O. K. powstał taki obóz w Roztoce koło Rytra, w okolicy, zaliczanej do najpiękniejszych w Polsce, przedewszystkiem zaś nadzwyczaj zdrowej. Tutaj urządzono dwa oddzielne obozy każdy na 150 ludzi, a pomieszczenie w nich znalazła młodzież ze wszystkich sfer, przedewszystkiem zaś z inteligencyi, aby czas wakacyjny spędzić przyjemnie i pożytecznie, nie na samej tylko rozrywce, ale także z korzyścią dla siebie, tak moralną jak i fizyczną. Znaleźli się tutaj uczniowie szkół średnich, członkowie organizacyi strzeleckich i harcerskich, młode pokolenie sokole, a wspólne życie obozowe wśród rówieśników z rozmaitych okolic kraju, pod prawdziwie ojcowską opieką, przyczyniło się w znacznej mierze do obudzenia wśród młodzieży tak koleżeńskości, poczucia własnej siły i godności, pojmowania obowiązków obywatelskich, jednem słowem stało się szkołą, uczącą w sposób praktyczny i przyjemny zarazem wywiązania się kiedyś chlubnie z owych zadań, jakie ciążą na młodem pokoleniu, tej naszej nadziei lepszej przyszłości.

Nie rozchodziło się tutaj bynajmniej, jak już poprzednio zaznaczaliśmy, o „zmilitaryzowanie" młodzieży, głównym celem było zaprawienie jej i przysposobienie do trudnych warunków życio-



**Katastrofa lotnicza w Rakowicach:** Pogrzeb ś. p. Józefa Burnagla.

RENE BURES.

# Zil=X...

31) tłómaczyła z francuskiego MARYA SEGENY.

Ta straszna niespodzianka, jasno tłómaczy wzruszenie Jerzego Dambleuse.

Teraz, chciałbym przestudyować trochę kwestyę aeroplanu i kwestyę rewolwerów, które zdaje mi się, łączą się ze sobą.

Nie mówię tu o trzech rewolwerach, których trzy kule utkwiły w głowach trzech ofiar z willi „Bzów" — ale o innych. Zobaczymy czy to są te same.

1. Rewolwer Browning 103000;
2. Rewolwer Browning 27.002
3. Rewolwer niemiecki dwunastomilimetrowy — lub też rewolwery niemieckie dwunastomilimetrowe — których kule tylko odnaleziono dotąd: jedną w głowie pani de Beaumont, dwie drugie w głowach zabitych w zamku Bonqueval.

A czy nie zadziwiająca jest ta naprawdę cudowna okoliczność?

Musimy przyznać, że kule niemieckie dwunastomilimetrowe, nie znajduje się tak łatwo na ulicach Paryża. Jest więc rzeczą szczególną, że w sprawie tak zagadkowej i niezbadanej, znajdujemy na początku i końcu śledztwa, te same kule niemieckie?

Teraz przyjrzyjmy się browningom.

Numer 103000 należy do Jerzego Dambleuse, który tej broni nie nosił często przy sobie — a pozostawiał ją najczęściej w kieszonce skórzanej przytwierdzonej do aeroplanu.

To był jego zwyczaj. Jerzy Dambleuse niedyś podróżował wiele. W czasie wycieczek konnych rewolwer przytwierdzał do siodła — później do aeroplanu.

A więc ten browning znaleziony został przy zwłokach kapitana de Limandoux.

Ale co jest ciekawsze jeszcze, to fakt znalezienia rewolweru na aeroplanie Jerzego Dambleuse.

Szofer jego, zaaresztowany, po uwięzieniu oskarżonego — ma w ręce w chwili aresztowania rewolwer z numerem 27002, który jak zeznał, znalazł na aeroplanie swojego pana. Rewolwer ten, przywłaszczył sobie prowizorycznie i zdziwiony był, że rewolwer, który nie był własnością Jerzego Dambleuse, mógł się znaleźć na jego aeroplanie.

Przypomnieć teraz muszę, że numer ten 27 002 spotykamy odtąd dwukrotnie; na świstku zamkniętym w kasie senatora i w pudełku zegarka, który jest własnością kapitana de Limandoux. Przy tym numerze w zegarku zanotowanym widzimy jeszcze wyryte imię Zil.

Czyż więc nie możnaby sądzić, że rewolwer z numerem 27 002 jest własnością Zila?

I czy dalej nie można przypuszczać, że, jeżeli ten browning znajdował się na aeroplanie Jerzego Dambleuse — to stało się to przez pomyłkę — że Jerzy Dambleuse pomylił się, lub też oszukano go, że Jerzy Dambleuse zabrał rewolwer Zila, pozostawiając mu swój własny i że w końcu Zil, posługiwał się rewolwerem Jerzego Dambleuse, idąc zamordować kapitana de Limandoux?

Toby wyjaśniło wszystko, bo wiemy jeszcze poza tem, że Jerzy Dambleuse znał Zila.

A teraz, mój chłopcze, czy nie widzisz, że przeszliśmy przez wszystkie ogniwa łączące nasze śledztwo, i że te ogniwa zaciskają się, zbliżają, aby pochwycić w swoje koło jednego jedynego człowieka?

I że tym człowiekiem jest nasz uczony, pan Dambleuse, ojciec Jerzego!

— Panie Dambleuse, co pan ma na to do powiedzenia?...

Starzec, nieruchomy jak mumia w swoim fotelu, uniósł powieki, rzucił na Iggins bystre spojrzenie i wymówił swobodnie:

— Nadzwyczajne! doprawdy, nadzwyczajne!

### Krok po kroku.

— Bardzo nadzwyczajne — potwierdził Iggins flegmatycznie — i aby utwierdzić pana jeszcze w tem przekonaniu, wykażę krok po kroku, chwila pochwili przebieg tajemnicy „trzech zbrodni".

Opiszę go tak, jak gdybym był naocznym świadkiem tego co się działo, tak, jak gdybym był nieodłącznym cieniem pana, panie Dambleuse.

I nie pomylę się, nie pobłądzę, jestem tego pewnym.

A więc mój chłopcze wiesz, kim jest pan Dambleuse, sławny uczony, matematyk, fizyk niezrównany.

A nie znasz przeszłości tego sławnego uczonego i członka Akademii — nie znasz jego duszy.

Przeszłości jego sam nie znam również. Podróżował po całym świecie. Był dyplomatą — bogaczem — nędzarzem może także. Niekiedy znikał na czas dłuższy i nikt nie wiedział co działo się z nim przez te lata.

Ma przeszłość awanturnika, genialnego awanturnika nie przeczę — ale to człowiek nienormalny — chory, wykolejony.

Jakie namiętności szarpały tym człowiekiem w czasie jego młodości — później w okresie dojrzałości męzkiej, nikt nie wie. Można tylko sobie wyobrazić, że były bardzo gwałtowne i niezwykłe!

Nie zatrzymuję się jednak nad tem dłużej.

Chcę tylko zaznaczyć, że człowiek posiadający taki gwałtowny nieokiełznany charakter jak Dambleuse — do wszystkiego w życiu musiał przystępować z namiętnością i podnieceniem.

Namiętną też miłością ukochał on swoje własne myśli, dążenia i poszukiwania naukowe.

W kilka lat stał się sławnym — i tylko jego dziwaczne, przykre usposobienie, odsunęły go od wyższych, należnych mu zaszczytów. Czy więc René Dambleuse, miał dokończyć życie swoje tak obfite we wrażenia i przeżycia — jedynie w pracy naukowej?

Nie!

Ten awanturnik w lepszym stylu, zachował ze swojej niejasnej przeszłości — jeżeli się tak można wyrazić, smak krwi ze swoich przeżyć, wspomnienie, które wyrodziło się w sadyzm. René Dambleuse poznał rozkosz cierpienia i krwi i ukochał je.

Fakta, które tu zaraz przytoczę, oświetlą dokładniej ten charakter nie codzienny i nie banalny.

Ale w tym wielkim umyśle, w tem dzikiem, nieokiełznanem sercu kwitła namiętność, pokrywająca wszystko. Ten człowiek, który pod pewnym względem pozbył się wszelkich cech człowieczeństwa — otaczał uwielbieniem swojego jedynego syna.

Nadzwyczajna, niewytłómaczona sprzeczność, która z tego starca oryginalnego uczyniła nędznika.

A teraz fakta:

Jerzy Dambleuse, po zerwaniu z Zakliną Dubois, poznał pannę de Beaumont i pokochał ją. Ona odpłaciła mu się tem samem uczuciem i wkrótce zaręczyli się.

Kapitan de Limandoux również oddawna kochał swoją kuzynkę.

Kazał on zaufanej osobie śledzić życie Jerzego Dambleuse, mając nadzieję, że w rodzinie jego znajdzie plamę jakąś, która stanie się przeszkodą do wejścia Jerzego Dambleuse w zacną, poważaną rodzinę senatora Poivrier.

Rezultaty tego śledztwa przeszły jego oczekiwania.

Listy i fotografie Zakliny Dubois prędko wpadły w jego ręce. Nie była to jednak jeszcze rzecz wielkiej wagi.

Wkrótce kapitan de Limandoux odkrywa, że René Dambleuse pod przezwiskiem Zila, obecnym jest przy każdej egzekucyi i że stosunki znajomości łączą go z pomocnikiem kata Marcinem Sangé. Ten Sangé dawał mu znać o każdej nowej, mającej nastąpić egzekucyi.

Nie wiem dotąd, kto prowadził śledztwo zainicyowane przez kapitana de Limandoux. Odbyło się ono jednak dobrze i skrupulatnie. Chodziło właściwie o śledzenie kroków danego osobnika, rzecz zresztą dosyć łatwa. A René Dambleuse nie miał żadnych podejrzeń.

Kapitan de Limandoux nie omieszkał z temi wszystkiemi wiadomościami podzielić się z senatorem Poivrier.

W tym to czasie, zapisał sobie dla pamięci w pudełku od zegarka te tajemnicze litery i cyfry: X – Zil – M. S. – 29 002.

Senator również zapisał sobie tę cyfrę. Były to znaki porozumiewawcze ustalone pomiędzy panem Dambleuse, a Marcinem Sangé.

Małżeństwo Jerzego Dambleuse zostało natychmiast zerwanem, bez żadnego wyjaśnienia i wytłómaczenia. I natychmiast zaręczono pannę de Beaumont z jej kuzynem, poczem uwieziono ją i trzymano w zupełnem odosobnieniu w zamku rodziców kapitana.

Nie zdaje mi się, aby wówczas Jerzy Dambleuse znał powód zmiany w postępowaniu senatora Poivrier, bo przypuszczam, żeby był zaraz wyjechał gdzieś daleko, może opuścił kraj na zawsze. Tymczasem, pozostał, zdumiony tem, co się stało.

Zdaje mi się, że przygotowywał się do walki w obronie swojej. Ale René Dambleuse przygotowywał się również.

Bystrem, genialnem spojrzeniem objął sytuacyę i zrozumiał ją. Zrozumiał także prawdopodobnie skąd groźba nadchodzi.

Postanowił więc walczyć — walczyć za każdą cenę.

Jest to starzec ogromnie jeszcze silny fizycznie. I jest to dusza pozbawiona wszelkich skrupułów, zdolna do wykonania najstraszniejszego planu.

Otóż, René Dambleuse postanowił sobie, że małżeństwo syna swego, z panną de Beaumont, musi być doprowadzone do celu. Pragnął tego, bo ten syn, którego uwielbiał, kochał tę młodą dziewczynę i dlatego także, że pragnął dla niego posagu panny de Beaumont.

Pewnej nocy, udał się sam do senatora Poivrier. Do willi „Bzów" dostęp był łatwy. Wszedł przez okno otwarte. Zastał senatora w gabinecie i zażądał od niego aby cofnął swoje postanowienie.

Senator odmówił.

Wtedy René Dambleuse zamordował go.

Proszę zauważyć, że podaję tu tylko bieg wypadków. Nie chcę się zatrzymywać przy szczegółach, musiałbym w takim razie fakt każdy rozbierać godzinę conajmniej.

Czy Dambleuse poprzednio groził senatorowi? Czy szedł już z zamiarem zabicia go?

Powrócimy do tego jeszcze.

Zabił go, a potem zaszło to, o czem już wiemy wszyscy.

Dambleuse uciekł, zabierając ze sobą rewolwer z numerem 27 002 i rewolwer dwunastomilimetrowy.

Zrozumiał jednak prędko, że jest zgubionym, że zostanie zdemaskowanym przez kapitana de Limandoux. Poszedł się go więc pozbyć także. Na nieszczęście jednak, pozostawił na miejscu dokonanej zbrodni rewolwer, rewolwer, który był własnością jego syna!

Jakże się to stać mogło?

W bardzo prosty sposób.

Syn jego odwiedził go dnia poprzedniego w Bonqueval. Przybył aeroplanem. Te szczegóły uszły baczności policyi, a nawet mojej, bo w tej chwili nikt nie mógł przypuszczać, aby stary Dambleuse był mordercą.

Jerzy Dambleuse zastał ojca nad zwłokami małej dziewczynki w laboratoryum!

Nie wiem, co wiedzieć mógł oskarżony o ojcu swoim. Sądzę jednak, że nie wiedział nic zgoła. Wiedział, że jest wybitnym uczonym, dziwakiem, odludkiem — i oto wszystko.

Ale tam, w laboratoryum, wobec zwłok tej dziewczynki, musiała wybuchnąć między synem a ojcem, straszna scena!

Jerzy Dambleuse, zrozumiał wtenczas wszystko, zrozumiał przyczynę, która zmusiła senatora Poivrier do odebrania mu ręki swojej wnuczki!

Może w tej chwili strasznej Jerzy Dambleuse chciał popełnić samobójstwo?

A może René Dambleuse chciał to uczynić, a syn mu w tem przeszkodził?

Wiem tylko, że rewolwery obydwóch zostały wyjęte z kieszeni, i kiedy ojciec i syn napowrót je schować chcieli, zaszła wówczas ta straszna pomyłka.

René Dambleuse zabił bowiem kapitana de Limandoux z rewolweru swojego syna!

Nie chcę przypuszczać, aby zamianę tą uczynił rozmyślnie. Byłoby to twierdzenie nielogiczne, przeciwne usposobieniu tego człowieka.

Jerzy Dambleuse pomimo wszystko jednak kochał ojca i musiał go ratować.

Ukryli zwłoki dziewczynki w worku i syn zabrał je ze sobą na aeroplan, kiedy noc zapadła.

Nieszczęście chciało, że nie zoryentował się dobrze co do miejscowości i worek wyrzucił z aeroplanu właśnie nad samym ogrodem senatora Poivrier.

Ale teraz jeszcze jedno pytanie:

Skąd się wzięły zwłoki dziewczynki w laboratoryum starego Dambleuse?

Czy Dambleuse zamordował tę małą dziewczynkę?

(Ciąg dalszy nastąpi)

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

# Z oparów krwi

**Powieść dyktowana przez autora w transie.**
(Prawa przedruku, przekładu i przeróbki zastrzeżone).

22)

Uszli już bardzo daleko, gdy dla wypoczynku przysiedli na majdanie, poświatą miesięczną jasno wysrebrzonym.

Wokół była cisza nocna. Czarne lasy spały. Żaden powiew wiatru nie zaruszał gałęzią.

Rozejrzeli się... Ziemia na tym majdanie wyglądała jak gdyby niezbyt dawno cała wzruszona.

— Może to mogiły żołnierskie...

— Może walk krwawych ślady...

— Może wojny pamiątki...

Milczeli wszyscy, zasłuchani w ciszę... uniesieni myślą w inne światy.

A wtem w pośrodku ich gromadki jasnym kwiatem, ze złocistą koroną w poświacie miesięcznej drżącą błyskami tajemniczości, wykwitła postać eteryczna.

Julian z Piotrem szepnęli:

— Ada.

— Tak, to ja, pustelnica z nad Gangesu...

...Wyrzeczeniem się wszystkiego zdobyłam tam wszystko. Życzę wam tego szczęścia, bracia moi, siostry moje.

...W osamotnieniu duch mój spotężniał. Wszak świadectwo macie wielkich moich nocy, kiedy stoję przed wami żywa, tu, gdym tam żyjąca pozostała ciałem.

Przychodzę do was, bezdomni pielgrzymi, by wam ukazać dalszą drogę, by wam wyjawić posłannictwo wasze.

...Bo oto z leśnego majdanu wynijść macie na szerokie rozłogi, albowiem godzina wasza nadeszła...

...Słowo wasze z ciszy samotności i tajemnicy pójść ma między ludzi...

...Nauczać ich będziecie poprostu:

...Kiedy krowę zabijesz, która cię mlekiem karmiła i krwią jej trupa zechcesz krzepić siły swego życia, to z oparów krwi bydlęcia upior wstanie i w krew twoją wnijdzie tygrysem...

...A kiedy w walce bronią nienawiści zabijesz człowieka i w życiu zechcesz zająć jego miejsce, to z oparów krwi ludzkiej upior wstanie... i cieniem swoim zaćmi tobie gwiazdę zwycięstwa... i zasłoni ci słońce radości życia.

...Jak z nad bagien malarycznych komar wstaje i ukąszeniem swojem w krew człowieka jad wsącza, od którego charłactwo rozchodzi się po całym organizmie... tak z krwi ludzi pomordowanych wstają upiory, które ludzi żywych tak nękają wieczystem kąsaniem, że krew człowieka w żyłach zamienia się w wilczą juchę.

...Za dni waszych oto z oparów krwi pomordowanych milionów ludzkich istnień wstały nieprzeliczone legiony duchów, buntujących się przeciwko śmierci.

...Zaczęły one niepokoić żywych i męczyć ich będą... swoją zjawą... i swojem słowem... dopóki ludzie nie zapragną żyć bez śmierci...

...Ja zaś, pustelnica z nad Gangesu, przyszłam potwierdzić wam słowa wszystkich proroków, że te legiony duchów zwyciężą... i biały sztandar Wszechmiłości zatkną w słońcu — na miejsce krwawej płachty nienawiści i zbrodni.

...Czas na was iść między ludzi... i dzwonić im w uszach duszy głosem Ducha... jako że się przybliża pora... albowiem Zbawienie już nadchodzi...

. . . . . . . . . . . . . . .

Rozwiała się w mgłach księżycowych i zamikła.

Ale w powietrzu pełno było muzyki Zygmuntowej...

A wtem ozwał się głos Edwarda:

— Izo, podaj mi rękę... Tyś jest moja pieśń.

A Klaudya odezwała się głosem dziwnie do Ady podobnym:

— Jeśli wam w drodze zabraknie kiedyś słowa, którem krzepić macie ludzi w męce więzienia, to wam zawsze z pomocą przyjdą głosy duchów zaziemskich, które wam towarzyszą ciągle. A gdyby czegoś oni nie umieli wam powiedzieć, natenczas z Maryi wyjdzie głos, który was objaśni w potrzebie.

...Idziecie wieścić królestwo Ducha... zwiastować będziecie panowanie Serca.

...A pielgrzymkę waszą pomiędzy ludźmi smutnej duszy powiedzie ta święta męczennica, która przez ziemię łez i krwi przechodzi po cierniach od lat tysięcy po raz siódmy...

Wietrzyk zaczął się zrywać.

Jakieś mgły podnosiły się z leśnego majdanu i chwiały się, łkając cicho... ni to cienie, co z krwi oparów na pobojowiskach wstają i snują się nieopodal świata żywych.

A z tem łkaniem ledwie dosłyszalnem mieszała się muzyka Zygmunta, serca zaś czworga pielgrzymów dzwoniły cichą modlitwę i wyznanie bez słów o wielkiem szczęściu, jakie im przepełniało pierś zmęczoną.

KONIEC.

---

K. Wilczkowski.

# Jednemu szydła golą — drugiemu brzytwy nie chcą.

HUMORESKA.

(Dalszy ciąg).

Poruszyć z miejsca narowistego konia sto kroć łatwiej, niż bezduszną, a ogromem 22.000 sił koni parowych (HP) liczoną machinę. Długo jęczy, długo sapie, nim wreszcie posunie się naprzód. Olbrzym kołysze się powoli, oddycha ciężko, dając poznać ludziom ogrom wysiłku.

Emigranci, zapełniający górny pokład, cisnąc się do okalających go balustrad, modlą się lub też przy akompaniamencie harmonij i skrzypiec śpiewają ludowe piosenki.

Kentley pociągnął przyglądającego się „górnym" sferom Strzyckiego.

— Chodź pan, trzeba, żebyś pan wiedział, którą zajmujemy kajutę. Ja na górze, pan na dole... Dobrze?

— Jak pan chcesz, tak będzie dobrze, lecz panie, mnie już mdli...

— Ależ jeszcze kotwicy nie podniesiono!

— Być może, ale kotwica nie tkwi w moim żołądku, więc należycie tego odczuć nie mogę. Czuję natomiast straszną pustkę, którą radbym czemś zapełnić. Chodźmy więc.

Gdy weszli do kajuty, opatrzonej okrągłem okienkiem, Strzyckiego zdjął lęk... Przypomniał sobie, że kiedyś w dziecińṡtwie łapał muchy i chował je w pudełka od zapałek... Kentley sięgnął do sakwojaża, wydobył z niego butelkę koniaku i szklankę.

— Nie tak cieszę się z tego, że odnalazłem stryja, pomimo to, iż ojciec mój, jak mi opowiadał, był jedynakiem, jak z tego, że mam towarzysza podróży w panu. A że kocham swego nieznajomego stryja, niech dla pana będzie dowodem to, że przed spotkaniem się z panem wysłałem depeszę do pana Johna Craydland, adwokata w New-Yorku, iż jadę na Stelli. W razie potrzeby może mi przysyłać wiadomości za pomocą telegrafu bez drutu. I o pańskie zdrowie dbałbym tak, jak o zdrowie stryja, gdybyś mi pan, podobnie jak on, zapisał sześć i pół miliona dolarów.

Podzielony smutek jest połową nieszczęścia, a podzielona radość podwaja się. Gdy dowiemy się jednak o odziedziczeniu przez kogoś spadku, mimowoli zazdrościmy mu. Ułomności natury przypisać to chyba tylko można, że każdy woli widzieć we własnej kieszeni rubla, niż w cudzej milion...

Strzycki zaczął więc w duszy zazdrościć Kentley'owi, choć udawał, że cieszy się ze szczęścia, które jego nowego przyjaciela spotkało. A Kentley'owi posłużyło to za powód do odkorkowania nowej butelki koniaku.

— Jesteśmy już, kochany panie Strzycki, o 833 lądowych wiorst i 132 morskich węzłów od Warszawy, a gdybyś pan teraz nawet i chciał, to z tego miejsca nie wrócisz już do swej żony, by podstawić głowę pod moździerz lub samowar...

Smutno zrobiło się Strzyckiemu na to wspomnienie, bo do wszystkiego człowiek przyzwyczaić się może, ba, nawet do własnej żony, choćby ta wzorem naszych pepesowców przekonania swoje wpajała za pomocą pięści, osuszał więc kieliszki i szklanki, by, według rady Kentley'a uspokoić wzburzone nerwy.

Nim się opamiętali, nastąpił wieczór cichy, tak cichy, jak tylko na oceanie być może. Prócz zgrzytu śruby, prującej fale, nic słychać nie było. Długa smuga światła znaczyła ślad, któredy przepływał kadłub olbrzyma, niosącego w sobie setki wychodźców.

Wyszli na pokład, a świeże powietrze rozmarzyło ich do reszty. Zaczęli opowiadać jeden drugiemu swe dzieje i pocieszać się nawzajem. Kentley'owi zrobiło się gorąco. Wypił dużo, lecz wmówił w Strzyckiego, że najlepszym środkiem na ochłodzenie jest limoniada imbirowa (Ginger Limonade). Zeszli więc znów do kajuty i kazali ją sobie podać.

„Ochładzanie" wywarło wręcz przeciwny skutek. Kentley poczerwieniał, oczy jego nabrały dziwnego blasku. Chciał dojść do łóżka, aby położyć się, lecz trudno mu było utrzymać równowagę. Strzycki podprowadził go, pomógł mu się rozebrać i ułożył go w dolnej kabinie. Sam wspiął się na górne łóżko i zasnął snem twardym, lecz niespokojnym. Zdawało mu się nawet, że go ktoś woła, że to nawet Kentley przyzywa go na pomoc i jęczy, rzężąc, jakby się dławił.

. . . . . . . . . . . . . . .

Wysoko już było słońce nad horyzontem, gdy zbudziło Strzyckiego pukanie do drzwi kajuty. Zeskoczył z łóżka i drzwi uchylił.

— Depesza dla pana Wiliama Kentley'a — rzekł chłopiec okrętowy, wręczając Strzyckiemu kopertę.

— Panie Kentley! — wołał Strzycki — oto wiadomość o pańskim poczciwym stryjaszku. Przeczytaj pan i powiedz mi, czy ten szlachetny starzec prędko uczyni cię milionerem...

Kentley leżał przykryty kołdrą na twarz. Widząc, że się nie budzi, Strzycki uniósł lekko kołdrę. Zdrętwiał...

Leżał przed nim nie Kentley, ale trup Kentleya. Sino-czerwona twarz, wybiegłe z orbit oczy i naprężone żyły szyjowe, mówiły aż nadto wyraźnie, że wskutek obfitych wczorajszych libacyi nastąpił udar apoplektyczny.

— A no, cóż robić, szlag go trafił, bo takie widać było jego przeznaczenie. Lecz co zrobić teraz z depeszą? Wszak nieczytanej nie można zwrócić, a że on jej przeczytać nie może, to chyba jest to moim świętym obowiązkiem.

Rozerwał kopertę. Depesza była krótka.

„Mr. Wiliam Kentley na Stelli. Stryj pański wczoraj umarł. John Craydland".

— I ten osioł teraz właśnie potrzebował umrzeć! Ja na jego miejscu wstrzymałbym się choćby kilka lat, by bodaj połowę stryjowskich milionów w godniejsze oddać ręce!... Szczęście mu lazło do ręki, a on nie umiał z tego korzystać! Prawda, że jednemu szydła golą, a drugiemu brzytwy nie chcą... Ot, gdybym ja był na jego miejscu!...

Wtem dzika, a szalona myśl przyszła mu do głowy.

— Wszak on już z tych milionów korzystać nie będzie... Wybudują za nie jakiś uniwersytet, lub bibliotekę, albo użyją na jakiś inny cel kulturalny, a wszak już nawet Rousseau twierdził, że cywilizacya tylko unieszczęśliwia ludzkość... Ja bym z tych pieniędzy lepszy użytek zrobił. Coby mnie i jemu szkodzić mogło, gdyby pochowali go jako Strzyckiego, a jabym jako Kentley odziedziczył spadek?... Wszak to nie kradzież, bo on przecież z tych pieniędzy korzystać nie może, a były dla niego przeznaczone...

Z pod poduszki, na której leżała bezwładnie głowa Kentley'a, wyjął pugilares, podłożył pod nią własny z dowodami, toż samo zrobił z zawartością wszystkich kieszeni, bagaż swój podłożył pod łóżko Kentleya, jego zaś zarzucił na półkę nad swoją pościel'ą i — zamiana gotowa.

— I dla mnie lepiej i dla niego — pomyślał. — On na tamtym świecie będzie miał pociechę, że miliony owe dostały się w odpowiednie ręce, ja zaś zniknę dla swojej Malwinki bezpowrotnie. Teraz nie będzie miała na kim rozbijać talerzy, bo *de iure* umarłem już!...

Wkrótce między pasażerami rozeszła się wieść o nagłej śmierci wychodźcy, Polaka Strzyckiego. Doktór skonstatował apopleksyę, zaszyto zwłoki w płótno, przywiązano u nóg ciężar i przy śpiewie psalmów biedny Kentley, jako Strzycki, pojechał na dno morskie, na pociechę rekinów.

Wiadomość o śmierci nawet nieznajomego osobnika, czyni na nas pewne wrażenie, a cóż dopiero na współpasażerach, stanowiących na parowcu jakby jedną rodzinę. Smutno więc było tego dnia, gdy pochowano w falach quasi Strzyckiego. Nowy Kentley poprosił kapitana, by go przeniesiono do innej kajuty, co też niezwłocznie uczyniono.

Nazajutrz słońce weszło jak zawsze i nikt o nieboszczyku nie wspomniał. Znów zapanował wesoły nastrój, znów na pokładzie popołudniu usadowiła się orkiestra, starsi panowie grali w szachy i karty, młodzież tańczyła... Bywa tak nie tylko na okrętach, lecz i na lądzie...

Po sześciu dniach gęsto krążące mewy zaczęły zwiastować bliskość lądu. Pasażerowie większą część dnia przepędzali na pokładzie, zakładali się, kto pierwszy i o której godzinie ląd ujrzy.

Nareszcie głośne „hurra!" przeszyło powietrze. Dostrzeżono sinięjącą na horyzoncie smugę, a za kilka godzin zarysował się majestatyczny posąg Wolności na ile Jersey City i Brooklinu.

II.

Mister John Craydland posiadał kancelaryę swoją przy Houdson Street. Kandydat na spadkobiercę udał się wprost do niego, pragnąc jak najprędzej upewnić się o dziwnych zrządzeniach Opatrzności.

— Pan jesteś panem Wiliamem Kentley'em, którego mi polecił odszukać w Europie notaryusz w San Francisko. James Wilkens z rozporządzenia zmarłego tydzień temu Richarda Kentley'a?

— Ja, panie, a tożsamość osoby potwierdzić mogę dowodami, które mam z sobą...

— Muszę jednak — przerwał adwokat — uprzedzić pana o ważnym dość warunku, jaki nieboszczyk zastrzegł w testamencie. Otóż czyni pana swoim jedynym spadkobiercą tylko w tym wypadku, jeżeli ożenisz się pan z miss Luizą Rockplayt, córką dawnej jego narzeczonej. Gdybyś pan na ten warunek przystać nie chciał, cała suma spadkowa ma być przeznaczona na cele dobroczynne, podług pańskiego uznania...

Strzycki zdrętwiał. Wiedział dobrze, że popełnił już jedno przestępstwo, przerobiwszy się na Kentley'a. Teraz musi popełnić drugie — bigamię, gdyż trudno byłoby inaczej złe naprawić. Na skrupuły te znalazł jednak przekonywujący go argument. Wszak ożenię się jako Kentley, nie jako Strzycki, bo Strzycki jako nieboszczyk, żenić się nie może. Kentley zaś jest kawalerem. Zresztą trzeba ratować od niechybnej zguby i siebie i miliony.

— Panie Craydland — rzek — wola nieboszczyka stryja mego jest dla mnie święta, więc pomimo, że miałem zamiar trwać dalej w celibacie, proszę, daj mi pan adres miss Luisy Rockplayt, a odszukam ją i natychmiast zastosuję się do życzenia mego stryja.

— Ułatwisz pan sobie nawet w ten sposób dochodzenie spadkowe i gdy zjawisz się u rejenta w San Francisco wraz z żoną, otrzymasz odrazu upoważnienie do podniesienia spadku, a miss Luiza Rockplayt mieszka przy Poultry Street Nr. 69. Gdy dostaniesz się pan do San Francisco, bądź łaskaw pozdrowić odemnie pana James'a Wilkens'a.

Strzycki-Kentley pożegnał mr. Craydlanda Nr. 69 i udał się na poszukiwania swej przyszłej żony. Odnalazł Poultry Street, a gdy stanął przed silniej mu serce zabiło.

— A nuż teraz wreszcie, gdy już mam pewność, że szczęście mi się uśmiechać zaczyna, miss Luiza będzie koroną tego szczęścia? Jankeski, ile wiem ze słyszenia, są pięknie zbudowane, gospodarne, uprzejme. Może też właśnie Opatrzność chce mnie nagrodzić za te kika lat pożycia z Malwinką — myślał Strzycki, jadąc do góry windą.

Na 17 piętrze wysiadł, a ujrzawszy przed sobą długi, jakby hotelowy kurytarz, zaczął się rozglądać, szukając mieszkania miss Rockplayt.

Otworzyła mu drzwi osoba niezbyt młoda, choć i niezbyt stara, lecz zato monstrualnie brzydka.

— Chciałbym pomówić z mis Luizą Rockplayt.

— A więc słucham pana...

Strzycki, gdyby miał w kieszeni dowody, które pozostawił był nieboszczykowi Kentley'owi, pomimo milionów byłby się może cofnął, lecz postanowiwszy bądź co bądź za ów paszport otrzymać spadek, rzekł:

— Jestem Wiliam Kentley.

— Cieszy mnie to, że nie ja pana, lecz pan mnie szukasz. Warunki testamentu stryja pańskiego znasz pan, prawda? Więc?

— Ułatw mi pani, bym jutro mógł cię nazwać swoją żoną, a...

— To już, panie, tak jakby zrobione. Jutro o 9-tej rano w kościele św. Jakóba odbędzie się nasz ślub, póki nie przygotują nam potrzebnych dowodów, zjemy *lunch* tu u mnie, a o 2 ej popołudniu wyjedziemy pospiesznym pociągiem do San Francisko...

Jak z 17 go piętra zjechał, nie umiałby tego Strzycki określić. Zapomniał o wszystkiem: o żonie, o moździerzu, o swoim przyjacielu, którego śmierci zawdzięczał swoje powodzenie, a nawet o potwornej brzydocie miss Luizy.

Nazajutrz, gdy po ślubie znaleźli się w skromnym pokoiku miss Luizy, Strzycki-Kentley oprzytomniał, zwłaszcza, gdy go zaczęła obsypywać pocałunkami, jak gdyby cały ich zapas, gromadzony w ciągu kilku dziesięcioleci, chciała odrazu wyładować.

— Lepsza, zdaje się — pomyślał — była tamta z moździerzem, niż ta z pocałunkami, lecz, jak mówił nieboszczyk Cezar, „alea jacta est", więc trzeba brnąć w swoim Rubikonie...

Luiza zaczęła zwierzać mu się i opowiadać smutne chwile dzieciństwa, a następnie lata, które mężczyźni słusznie zowią młodzieńczemi, swe oczekiwania na śnionego przez wszystkie dziewice męża, o którego tak trudno w Stanach Zjednoczonych, gdzie każdy myśli tylko o *bussinesie*. A że jak każda Amerykanka, miała wrodzone uczucie *selfhelp'u*, to jest samopomocy, więc też pracowała od kilku lat jako infirmierka w szpitalu św. Jakóba — dla umysłowo chorych.

Na szczęście dano znać, że przyjechał zamówiony ekwipaż, którym państwo młodzi mieli się udać na dworzec, następnie zaś Pacific Railway'em do San Francisco, by pożegnać się ze zwłokami mr. Richarda Kentleya, a przywitać jego miliony.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

O przysłowiowej szybkości amerykańskich pociągów zbyt niejasne mamy pojęcie, często bowiem niedomówiony wyraz nasz współpasażer na następnej dopiero usłyszy stacyi. Szybko więc pośpiesznie chwile upływały dla Luizy, choć Strzyckiemu zdawało się, że jadą z szybkością przeciętnego towarowego pociągu drogi Nadwiślańskiej.

Dojechali nareszcie do celu i wprost z dworca udali się na Georg Street, gdzie mieściła się kancelarya mr. James'a Wilkens'a.

Notaryusz, przejrzawszy podane sobie dowody, zapytał:

— Jak się pan nazywa?

— Wiliam Kentley, a to moja żona mistress Luiza Kentley, córka pani Mery Rockplayt, dawnej narzeczonej stryja mego Richarda...

— Czy pan mówisz o Richardzie Kentley, czy też o zmarłym przed dziesięciu dniami Richardzie Kentley? Lecz prawda, pan jako Kentley, nie może być spadkobiercą pana Kentleya'a...

Pomocnik Wilkes'a wydobył z ogniotrwałej kasy oryginalny testament nieboszczyka.

— Ależ panie szanowny, mnie depeszowano, że był chorym, a następnie, jak przysłało na milionowego i bezdzietnego spadkobiercę, umarł stryj mój mr. Richard Kentley!

— Bardzo być może, że pan panie Kentley, masz także stryja, który napewno kiedyś umrze, lecz tymczasem umarł tylko mr. Richard Kentley.

— Lecz, panie, ja tu umyślnie z Europy przyjechałem!

— W takim razie — odrzekł z flegmą rejent — poproś pan swego stryja, by, chcąc się panu zrewanżować, gdy będzie miał zamiar umrzeć, pojechał do Europy, lecz ja tak jestem obecnie zajęty, że muszę pana prosić, byś mnie pożegnał.

Strzyckiemu-Kentleyowi zrobiło się o wiele gorzej, niż wówczas, gdy w Hamburgu, żegnając wraz z prawdziwym Kentley'em stały ląd, zapoznał się po raz pierwszy z whisky i grogiem.

— Pomimo tak niemiłej dla ciebie, mój drogi, pomyłki, wdzięczna Opatrzności jestem, że nareszcie, choćby tylko formalnie, przestałam być panną — rzekła Luiza, opierając się na jego ramieniu — prowadź mnie więc dalej przez życie...

— Pomieniał się stryjek — za siekierkę kijek — myślał nasz bohater, włócząc się potem bez celu po ulicach San Francisko z przyczepioną u boku nową żoną. — Stracony jestem teraz i dla siebie i dla świata bezpowrotnie. Ów milionowy spadek dyabli wzięli, zostawiając mi dwie żony i w perspektywie dwa procesy sądowe: o podszywanie się pod cudze nazwisko i o bigamię.

Błądząc tak, uradzili, by zajść posilić się do baru. Tu Strzyckiemu-Kentleyowi poprawił się humor, więc zgodził się na propozycyę żony, by powrócić do New-Yorku.

— Tam ja znów zostanę infirmierką w szpitalu, ty pracować będziesz w jakiej fabryce, lecz nie opuszczę cię nigdy — rzekła Luiza — a zauważywszy, że mąż jej zbladł i jak gdyby dławiąc się, zaklął coś w niezrozumiałym dla niej języku, spytała:

— Co mówisz, *my dear?*

— Nic, mówię tylko, by tego Kent... nie, Kert... nie, Strzyc... nie... o, co go zamiast mnie... racze mnie zamiast niego... o tego, co go utopili, ot lepiej, żeby go były żywcem raki zjadły...

Mistress Luiza spojrzała na swego małżonka. Siedział blady, kurczowo zaciśnięte usta i ogłupiały wzrok mówiły aż nadto dobrze, iż nowina o pomyłce i stracenie nadziei na otrzymanie spadku, fatalnie oddziałały na niego. Sama zajęła się kupnem biletów i wyekspedyowaniem bagażu, a w drodze tak męczyła go ustawiczną troskliwością o stan zdrowia, że Strzycki-Kentley na przedostatniej stacyi wyskoczył, by dopiero następnym pociągiem udać się do New-Yorku, z mocnem postanowieniem unikania możliwego zetknięcia się z obecną swą małżonką.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Pani Malwina Strzycka, zmartwiona zniknięciem męża, pocieszała się myślą, że w dzisiejszych niespokojnych czasach każdemu zdarzyć się może, iż na pewien czas zostanie izolowany od reszty społeczeństwa. Gdy jednak przyszła wiadomość o śmierci Zenona, rozpaczać zaczęła, bo pomimo, a może właśnie z powodu krewkiego temperamentu, kochała go bardzo. Wszyscy mężowie wiedzą z doświadczenia, że żona z limfatycznem usposobieniem, to tylko taka ewangeliczna przyjemność.

Próżno rodzina próbowała wyperswadować młodej wdowie, że nie powinna żałować „takiego łajdaka", że czy później, czy wcześniej musiałby umrzeć, że powinna cieszyć się raczej z tego, bo znajdzie sobie odpowiedniejszego męża.

Wuj jej, majętny a bezdzietny doktór Wonołecki, który najbardziej sprzeciwiał się wyjściu jej za mąż za Strzyckiego, dowiedziawszy się o jego śmierci, uczynił na rzecz wdowy darowiznę z trzypiętrowej kamienicy w Alejach Ujazdowskich i 60 tysięcy, zahypotekowanych na podmiejskich dobrach.

Lecz i to nie mogło ucieszyć nieutulonej w żalu wdowy. Rodzina nalegać jednak zaczęła, by przez wzgląd na hojny zapis wuja jak najprędzej wydobyła dowody, urzędowo stwierdzające śmierć Strzyckiego.

Namówiono więc wdowę, by pojechała w tym celu sama do New-Yorku, dla pomocy zaś prawnej wysłano z nią dalekiego kuzyna, który przed kilku laty ukończył wydział prawny i dotychczas żadnej jeszcze sprawy nie prowadził.

Podróż wpłynęła zbawiennie na smutek Strzyckiej. Morze ukołysało zbolałe nerwy, a przytem kuzynek (choć nie wiedziała, w jakim stopniu są spokrewnieni), starał się ją uspokoić. Trudno byłoby nawet określić, czyja była większa zasługa: morza, czy też młodego prawnika w tem, że Strzycka, wysiadłszy na stały ląd, pogodziła się z losem... Tęskno jej tylko było za Europą, a gdy kuzynek zbierał w urzędach potrzebne mu dokumenty, Malwina błądziła po ulicach miasta, przyglądając się z zajęciem niezliczonym skwerom i trawnikom, na których dzieci zarówno jak i starzy bawili się w piłkę, domom sięgającym zda się do nieba i barwnemu tłumowi, uwijającemu się w szalonym tańcu życia.

Raz idąc tak bez celu przez Houdson-Street, spostrzegła kroczącego ku niej męża. Na razie osłupiała, nagle jednak zapominając o kuzynku i o świecie całym, z krzykiem: „Zeniu, mój Zeniu!" rzuciła mu się na szyję.

Strzycki Kentley, on to bowiem był w rzeczy samej, zgłupiał, ujrzawszy Malwinę, lecz że drugie ożenienie się utrwaliło ostatecznie w nim wstręt do małżeńskiej instytucyi, rzekł zflegmą, jak przystało na yankesa:

— *What speak you?*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Kronika tygodniowa

Nasi urzędowi meteorologowie mają przy wygłaszaniu swych prognoz mniej więcej takie szczęście jak kronikarz, którego jednak to może tłómaczyć, że nie jest fachowcem w tym kierunku, łatwo zatem może się pomylić. Ilekroć narzekał na niepogodę, mógł być prawie pewny, że, zanim odnośny numer *Nowości Illustrowanych* pojawi się na mieście, z deszczu, a nawet błota, choć go magistrat nie wywiezie, nie będzie już ani śladu.

Tegoroczne wakacye nie należały pod względem atmosferycznym do szczególniej pomyślnych, pocieszono nas jednak nadzieją, że za to jesień powetuje nam wszystko, będzie bowiem długą, ciepłą, suchą i pogodną. Kalendarzowo nie zaczęła się ona wprawdzie, czuć ją przecież w powietrzu, a wrzesień uważamy zawsze w myśl tradycyi za pierwszy miesiąc jesienny. Że może ona być długą, to jest bardzo możliwe, ale trudno się spodziewać, aby była suchą, ciepłą i pogodną, bo już sam jej początek dał nam się porządnie we znaki. Mówią wprawdzie ludzie, że pierwsze koty za płoty, ale nasz jesienny deszczyk niech się tylko rozkapie, to kapać sobie będzie bez końca, bo i jakże obeszłaby się bez niego nasza „piękna polska jesień".

Kto zatem, wierząc przepowiedniom, wyjazd na wypoczynek odkładał sobie na wrzesień, niechaj raczej pozostanie w mieście, bo, choć ciaż niema na wsi „Zakładu czyszczenia miasta", ale błoto jest jeszcze większe niż w Krakowie. Wolny czas najlepiej obrócić na przygotowania do zbliżającej się zimy, która zapowiada się nam niezbyt ponętnie, jeśli się zważy, że węgiel i inne materyały opałowe, jak gdyby wyuczyły się lekkiej atletyki, skaczą w cenie niemal co tydzień. Jeśli tak pójdzie w dalszym ciągu, jak dotąd idzie, cetnar węgli będzie w grudniu kosztować conajmniej pięć tysięcy marek, nabycie go stanie się dla zwykłego śmiertelnika, należącego do klasy umysłowo pracujących lub urzędników, czemś niedościgłem. Już w ubiegłym roku wspominaliśmy, że drogi handlarzy węgli, jako sprzedających drogie kamienie, starają się o przyjęcie do Cechu złotników i jubilerów, obecnie powtórzyć możemy to samo z większym jeszcze nawet naciskiem. Węgle należą zatem obecnie do klejnotów, ziemniaki przewyższyły cenę najbardziej wyszukane owoce południowe, aby zatem zaopatrzyć się w te dwa, na zimę najniezbędniejsze artykuły, trzeba być naprawdę milionerem, a potem, mając je już w swej piwnicy, przenieść się tamże wraz z całą rodziną, aby skarbów tych strzedz przed odwiedzinami nieproszonych gości. Kogo zaś nie stać na to, aby się zaopatrzył w te luksusowe dziś artykuły, ten niechaj spogląda bodaj na piec i grzeje się wspomnieniami lat przedwojennych.

Nie jest jednak jeszcze tak źle, jak myślałby kto może, gdyż zbliżają się wybory a z nimi i kiełbasa wyborcza, kto mądry, może także i w gotowiźnie coś zarobić, zwłaszcza, że podobno rzucono na agitacyę wcale pokaźne sumy. Jak czytaliśmy, Berlin miał rzekomo poświęcić na rzecz bloku mniejszości narodowych w Polsce pięćset milionów marek niemieckich, a choć one straciły wiele na wartości, w każdym razie więcej znaczą, niż polskie. Także i nasz skarb państwowy, choć stale narzeka na brak funduszów, a maszyna drukarska nie może nadążyć z wybijaniem nowych banknotów, dziwnym trafem właśnie teraz, gdy sytuacya finansowa jest najgorsza i wymaga rozpuszczenia w znacznej części urzędników na zieloną trawę, znalazł miliardy na rozmaite zapomogi pod bardzo rozmaitemi tytułami, z czego niezawodnie większa część pójdzie w ruch na agitacyę wyborczą. Trzeba tylko wiedzieć gdzie i jak zapukać, a będzie można odnieść pewną realną korzyść w zamian za poświęcenie swych „niewzruszonych zasad".

Podobnie jak na dobroczynności publicznej wychodzą zawsze najlepiej ci, którzy zajmują się jej szafowaniem, tak i podczas wyborów dobrze się dzieje tym, którzy w myśl „świętych zasad" i obywatelskiego obowiązku agitują na rzecz kandydatów, aby im zdobyć zaufanie ogółu. Popularnie nazywa się ich „hyenami wyborczemi", co ma tem większe uzasadnienie, że hyena czworonożna ma zwykle do czynienia z nieboszczykami, a i podczas wyborów oni właśnie przechylają zwykle szalę zwycięstwa na rzecz kandydata, który umiał przemówić do serc swych wyborców w sposób najbardziej przekonywujący. „Hyeną zawodową zostać trudno, trzeba bowiem wykazać się dotychczasową działalnością swą w tym kierunku, łatwiej natomiast zdobyć stanowisko jej pomocnika, gdyż każda musi ich mieć po kilkanaście aby módz równocześnie operować w rozmaitych punktach. Oczywiście ta „Oberhyena" wychodzi na tem najlepiej, część funduszów bowiem, jakie otrzymała od swych mocodawców na agitacyę ginie w jej bezdennej kieszeni, a resztę rozdziela między swych podwładnych. Ale i ci, idąc za jej przykładem, z góry potrącają sobie pewną kwotę za swą fatygę, a dopiero to, co zostanie, ma służyć jako argument przekonuwujący wyborców, że tylko ten kandydat, a nie inny, daje pełne gwarancye, że w Sejmie lub w Senacie poprze należycie interesy także i swych wyborców. Po knajpkach naszych widać już ruch przedwyborczy i z tego powodu, choć trunki takie drogie, można tu i ówdzie łyknąć i liznąć coś za darmo, w miarę zaś im wybory będą bliżej i sposobność taka trafi się częściej. Staropolska gościnność święci zawsze tryumfy przed wyborami.

Kilku kandydatów na Kraków podano już do publicznej wiadomości, będzie ich niezawodnie więcej. Dopiero sam początek, a endecy już się zaczynają kłócić z chadekami, co szczególnie podoba się tym, którzy mają zamiar ich zwalczać, łatwiej bowiem dać sobie radę z każdym odłamem z osobna, niż z oboma razem, jeźliby się ze sobą złączyły. Nasi politycy, choć umieją przeważnie czytać i pisać, co jest znakiem, że chodzili kiedyś do szkoły, w decydujących momentach zapominają jednak z zasady, jak nam to ongiś opowiadano w normalkach o owym ojcu umierającym, który kazał swym synom łamać wiązkę prętów... a, jeśli tak dzieje się już na samym początku, gdy całe dwa miesiące dzielą nas od wyborów, cóż będzie dopiero później, gdy ruch wyborczy rozwinie się w całej pełni. Będziemy się kłócić na dobre, a z urny powyłażą tymczasem same zera, nie zdające sobie nawet sprawy, w jaki sposób się tam dostały. Będziemy mieli sposobność, podobnie jak przed trzema laty, do narzekania, ale trzeba będzie sobie powiedzieć, że „mądry Polak po szkodzie" i że nas nie nauczyły niczego dotychczasowe doświadczenia życiowe. Na obszarze Małopolski, czyli byłej Galicyi agitacya wyborcza zapowiada się bardzo ożywiona, prym w niej wieść będą ludowcy, socyaliści i narodowa demokracya, w zachodniej części pójdzie to spokojniej, we wschodniej natomiast można być przygotowanym na różne niezbyt miłe niespodzianki, które w gruncie rzeczy niemi właściwie nie będą, wiemy bowiem bardzo dobrze z jaką serdecznością odnoszą się do nas Rusini z pod znaku Petruszewycza. Pan „dyktator" i jego adherenci zalecili wstrzymanie się Rusinów od udziału we wyborach, a żydom zagrozili pogromami, gdyby chcieli stanąć do urny. Ale i w łonie samego rządu „Zachodniej Ukrainy" niema pod tym względem zgody, gdy bowiem Petruszewycz nakazuje zupełną abstynencyę, Kiryło Trylowskij jest przeciwnego zdania i radzi wziąść udział we wyborach, aby przeprowadzić swych kandydatów, którzy mieliby strzedz interesów ukraińskiego ludu w Sejmie warszawskim. Wynika z tego, iż nie podziela on nadziei swego kolegi, aby Wschodnia Małopolska miała się stać z czasem samodzielnem państwem. Nie wyklucza to jednak, że szowiniści ukraińscy nie cofną się przed żadnym gwałtem, aby przecież zadokumentować, że Polacy nie mają prawa urządzania wyborów na „rdzennie ukraińskiej ziemi."

Kronikarz, jak już zresztą poprzednio zapowiadał, nie kandyduje ani do Sejmu ani do Senatu, ponieważ własnej partyi politycznej jeszcze nie stworzył, a do żadnej z istniejących niema zbyt wielkiego nabożeństwa. Trudno zresztą wybrać którąś z nich, tyle się ich natworzyło, zanim bodaj pobieżnie możnaby się rozglądnąć w ich programach na przyszłość tym czasem przyjdzie 5. listopad i klamka zapadnie. W każdym razie ruch wyborczy jest już widoczny, ruszyli się nawet i dali znak życia nasi staruszkowie z pod znaku Nowej Reformy, których możnaby porównać do pieczarek wyłażących po deszczu z pod kamieni chodnikowych o ile oczywiście owa *Kuryerkowa* i pieczarkowa historya jest opartą na realnych podstawach.

Nie zajmując się wyborami, postanowił kronikarz wybrać się do Lwowa na Targi Wschodnie, choć odradzają mu to znajomi, strasząc terrorem ukraińskim, którego mógłby się stać bardzo łatwo ze względu na swe stanowisko w sprawie Wschodniej Małopolski. Z tego powodu wystosował on do jednego ze swych przyjaciół list z zapytaniem, czy opłaci się przyjechać, niestety, list ów z powodu bezrobocia pocztowców, na miejsce nie doszedł, a choćby nawet był i doszedł i nadeszła nań pomyślna odpowiedź, należałoby się poważnie zastanowić nad tem jechać czy nie, gdyż strajk pocztowy może bardzo łatwo pociągnąć za sobą i inne, naprzykład kolejarzy, wobec czego mógłby się krakowski podróżnik znaleść we Lwowie zupełnie odciętym od świata, bo powrót piechotą stamtąd nie należy do przyjemności a na przebycie drogi powietrzem go nie stać. Oczywiście, pisząc o owym „krakowskim podróżniku", ma na myśli siebie samego lub podobnego mu dziadowoda, który po to kończył studya, aby na starość przymierać głodem i świecić narodowi dziurami na łokciach i kolanach, o innych nie mówiąc, jako iż przy obecnej modzie noszenia długich surdutów są one dla oka innych niedostrzegalne. Takich, którym na tem nie zależy, czy posiedzą we Lwowie tydzień lub dwa dłużej, jest bardzo wielu, tylu, ilu Kraków liczy paskarzy i lichwiarzy, nie liczą się oni z czasem ani wydatkami, wiedząc dobrze, że i podróż do Lwowa sowicie się opłaci, można bowiem na nich zrobić bardzo piękny interesik, zwłaszcza że granica bolszewicka niedaleko, a bolszewicy płacą za wszystko złotem, skradzionem po dworach, kościołach i cerkwiach. Paskarz lub lichwiarz nie obawia się także zamachów ze strony ukraińskich polityków, mają oni bowiem bardzo dobry węch i poznają zaraz, kto przyjechał w celach spekulacyjnych, a na tym punkcie są oni zawsze chętni do zgody i braterskiej współpracy.

Skoro zatem odpadły i Targi Wschodnie, trzeba się było na miejscu zająć czemś poważnem, przedewszystkiem zaś plebiscytem *Kuryera Illustrowanego*, który przedstawia się coraz okazalej i powiedzmy, coraz poważniej, operetkowe bowiem „wielkości" pozostały w mniejszości i nie spotykamy się już na liście kandydatów z ich nazwiskami. A, powiedzmy nawiasem, szkoda to wielka, gdyż czytając codziennie wyniki głosowania, mieliśmy bardzo miły temat do refleksyi, jaką miarką mierzy się u nas wielkość i sławę. Panu Baytlowi z Warszawy przyznać musimy, że jest wielkim filantropem i obywatelem który pojmuje i spełnia swe obowiązki, nie dusi grosza, jaki uczciwie zarobił i dzieli się nim chętnie z innymi, bardziej go potrzebującymi, jakże dziwnie jednak wyglądało jego nazwisko na liście „wielkości" kilkunastu głosami, gdy naprzykład prof. Balcer zdołał ich wówczas zdobyć zaledwie.. trzy! Dziś obaj zostali już wycofani z konkursu, gdyż inni wzięli ich liczbą głosów, los ten podzielił także i naczelny redaktor plebiscytu, p. Maryan Dąbrowski.

Obecnie oczekujemy na ostateczny wynik plebiscytu, a tymczasem bawimy się tak ciekawemi wiadomościami jak naprzykład owa senzacyjna, nadeszła z Ameryki od specyalnego korespondenta naturalnie *Kuryerka* o śpiewających żabach w Texas, które tworzą wyborny kwartet, cudownie zharmonizowany i nawet nie posługujący się nutami. Produkowały się już w jakimś kościele amerykańskim, budząc ogólny zachwyt wśród pobożnych, nie jest wykluczonem, że w najbliższym sezonie koncertowym usłyszymy je ze sceny „Bagateli". Rokowania w tym kierunku już nawiązane, krakowscy melomani będą mieć zatem nielada biesiadę artystyczną, jakiej dotąd ani oko nie widziało ani ucho nie słyszało.

wych, jakie ją czekają w przyszłości. Z natury rzeczy główny nacisk położyć musiano na rozwój fizyczny, mustra, gimnastyka, ćwiczenia lekko-atletyczne i bliższe i dalsze wycieczki w połączeniu z pobytem na świeżem powietrzu, kąpielami i racyonalnem odżywianiem, złożyły się na to, że siedmiotygodniowy pobyt w obozie na zdrowie chłopców wpłynął bardzo dodatnio. Ale nie brakło też czasu i na uświadamianie młodzieży, jakie obowiązki ma ona przed sobą do spełnienia, czego od niej żąda społeczeństwo, zapoznawano ją też z świetną naszą przeszłością i wskazywano drogi, jakie obrać należy, abyśmy wśród ludów Europy zająć mogli znowu to samo stanowisko jakie zdobyć sobie potrafili nasi pradziadowie.

Że czas pobytu w obozie nie poszedł na marne, to wykazało zakończenie kursu, które się odbyło w dniu 18. sierpnia b. r. Nie wiadomo, co należało bardziej podziwiać, czy widoczny na pierwszy rzut oka rozwój fizyczny młodzieży, jej brawurę i ochotę do życia, czy też karność i porządek, jakich nauczyło życie obozowe. Około dwustu pięćdziesięciu młodzieńców otrzymało świadectwa z ukończenia kursu, wystawione przez D. O. K., będą one dla nich nie tylko pamiątką tych miłych chwil, ale kiedyś, przy wstępowaniu w szeregi armii, oddadzą im przysługę, pozwalają na korzystanie z licznych ulg, które określić ma osobna ustawa sejmowa. Poza tem młodzież, która spędziła czas wakacyjny w obozie, już obecnie w organizacyach swoich pełnić może skutecznie obowiązki instruktorów.



**Kłopoty Niemieckiej Austryi:** Kanclerz, ks. prałat dr. Seipel (na prawo) i austr. min. skarbu, Segur.

Początek zatem zrobiony, wyniki przeszły oczekiwania, w roku przyszłym napływ zgłaszających się będzie z pewnością taki, iż nie pomieści ich nawet dwa razy tak wielka liczba obozów, jak tegoroczna. Główne kierownictwo i piecza nad obozami spoczywały w ręku referentów Przysposobienia Rezerw przy każdem D. O. K., ci zaś wykonywali je przez swych oficerów instrukcyjnych, przydzielonych do Powiatowych Komend Uzupełniających.

## Z żałobnej kroniki.

Z grona prawdziwie użytecznych pracowników w społeczeństwie, prawdziwie zacnych obywateli ubył znowu jeden osobnik o niepospolitych zdolnościach i wybitnej nawskróś indywidualności.

Dnia 12 b. m. zmarł w wieku lat 68 Jan Zawiejski, architekt, starszy radca budownictwa miejskiego. Zmarłemu zawdzięcza Kraków cały szereg wspaniałych budowli, że wymienimy tylko gmach teatru im. Słowackiego, następnie cały szereg budowli miejskich, gmach Akademii handlowej i ostatnio budujący się obecnie gmach P. K. O.

Ś. p. Jan Zawiejski ukończył studya politechniczne w Niemczech, poczem w rodzinnem swem mieście rozwinął żywą, a tak owocną działalność w zakresie budownictwa. Przed kilku laty został powołany na stanowisko profesora budownictwa w Szkole przemysłowej.

Zmarły, jeden z najzdolniejszych ludzi w Krakowie, umieszczał od czasu do czasu udatne drobiazgi w codziennych pismach, a dla swych wybitnych zalet towarzyskich cieszył się szeroką popularnością.

## Katastrofa lotnicza w Rakowicach.

Zapowiedziany na 9. b. m. polski lot okrężny został odłożony na drugi tydzień, o czem zgromadzona tłumnie w tym dniu publiczność dopiero na miejscu została zawiadomiona. Chcąc niejako dać rekompensatę za ten zawód wzniósł się aeroplanem jeden z najdzielniejszych pilotów polskich Józef Burnagel, na znaczną wysokość w powietrze, by wykonać cały szereg ewolucyi i ćwiczeń.

Były to zaiste produkcye wchodzące już w zakres akrobatyki powietrznej. Publiczność z zapartym oddechem śledziła karkołomne ćwiczenia. Między tłumami zapanowało zdenerwowanie i lęk o życie śmiałego lotnika. Wtem krzyk grozy wyrwał się wszystkim z piersi. Aeroplan pochyliwszy się na bok zaczął coraz szybszym ruchem opadać ku ziemi. W popłochu rozbiega się publiczność na wszystkie strony, by uchronić się przed spadającym latawcem, od którego niewytłómaczonym sposobem oderwało się jedno skrzydło, co też się stało bezpośrednim powodem katastrofy.

Tymczasem pod aeroplanem rozwinął się wydęty pędem powietrza, wielki, jedwabny spadochron... Jest więc nadzieja, że pod nim uwieszony spuszcza się ku ziemi ocalony lotnik... Niestety! nadzieja zawiodła! W kilka sekund runął kadłub aparatu i wbił się ze zdruzgotanym motorem w ziemię tuż obok hangaru. Opodal na roli w odległości kilku metrów leżą skrwawione zwłoki lotnika, niedaleko spadochron z przerwaną pętlą żelazną. Według wszelkiego prawdopodobieństwa ś. p. Burnagel w chwili katastrofy wyskoczył z aparatu, uchwyciwszy się żelaznego kółka spadochronu. Pętlica z lanego żelaza pod ciężarem lotnika pękła...

Ś. p. Burnagel, młody, wybornie zbudowany mężczyzna, był pilotem cywilnym, zakontraktowanym do służby wojskowej. Dla swych wybitnych zdolności zwany był „polskim Pegoud'em". Tragiczna śmierć bohaterskiego lotnika wzbudziła żywe współczucie w szerokich sferach naszego miasta, czego najlepszym dowodem był manifestacyjny pogrzeb ś. p. Józefa Burnagla.

W niniejszym numerze podajemy zdjęcie (wykonane w przeddzień katastrofy) poległego bohaterską śmiercią lotnika. Druga rycina przedstawia pogrzeb ś. p. Burnagla z udziałem nieprzejrzanych tłumów publiczności.



**Komuniści rosyjscy przeciw socyal-rewolucyonistom:** Przewodniczący Nadzwyczajnego Trybunału w Moskwie odczytuje wyrok śmierci wydany na dwunastu socyalnych rewolucyonistów.

## Komuniści rosyjscy przeciw socyal-rewolucyonistom.

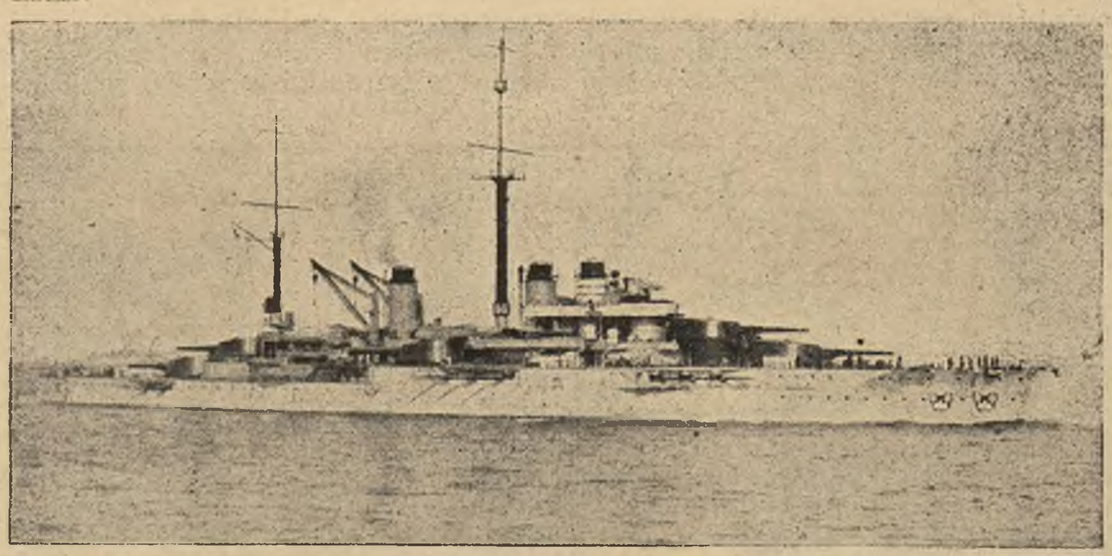
W Moskwie rozegrał się jeden z tych dramatów, w których inscenizowaniu okazali się bolszewicy takimi mistrzami. Przed nadzwyczajnym trybunałem postawiono cały szereg najwybitniejszych działaczy socyal-rewolucyjnych, oskarżonych o wrogie działanie wobec rządu sowieckiego. Los oskarżonych był z góry przesądzony, cały świat wiedział o tem, że postawienie ich przed sądem jest tylko czczą formą, a rozprawa zakończyć się musi masową rzezią nieprzyjaciół politycznych. Świadczył o tem i sam skład nadzwyczajnego trybunału i szykany, jakie stosowano tak wobec oskarżonych, jak i ich obrońców.

Sprawa ta wywarła ogromne poruszenie w całym świecie, przedewszystkiem zaś wśród socyalistów wszystkich narodów, którzy starali się pośpieszyć z pomocą swym uwięzionym rosyjskim towarzyszom. Jako obrońców wysłano do Moskwy Vanderwelda, Rosenfelda, Liebknechta i innych,



**Delegatki amerykańskie u prezydenta Milleranda:** Przyjęcie delegatek przez Prezydenta Republiki na zamku Rambouillet.

a już bezpośrednio po przekroczeniu granicy rosyjskiej i w ciągu całej swej podróży do Moskwy mieli oni przedsmak tego, co ich czeka na miejscu. I nie zawiedli się bynajmniej, rozprawa moskiewska dała bowiem pole jedynie działaczom sowieckim do ostrego występowania przeciwko wszystkiemu, co nie bolszewickie, skończyła się zaś, jak z góry przewidywano, wydaniem całego szeregu wyroków śmierci, jedynej kary, stosowanej przez bolszewików na swych przeciwnikach.



**Zatonięcie francuskiego pancernika:** Pancernik *France*, który podczas ćwiczeń morskich w zatoce Quiberon zatonął prawdopodobnie wskutek najechania na podwodną skałę.

Skład trybunału tworzyli między innymi: Pietakow, jako przewodniczący, w skład kolegium sędziowskiego wchodzili Gałkin i Karklin, w roli oskarżycieli występowali Krowenko, Łunaczarski i Pokrowski. Prasa rosyjska podaje ciekawą charakterystykę niektórych ze sędziów, mających rozstrzygnąć o losie oskarżonych. I tak Karklin, z pochodzenia Łotysz, mówi kiepsko po rosyjsku i kiepsko rozumie ten język. Był on jakiś czas przewodniczącym najwyższego trybunału. Za czasów jego prezesostwa zapadł pierwszy wyrok śmierci, aczkolwiek kara śmierci została w Rosyi oficyalnie zniesiona.

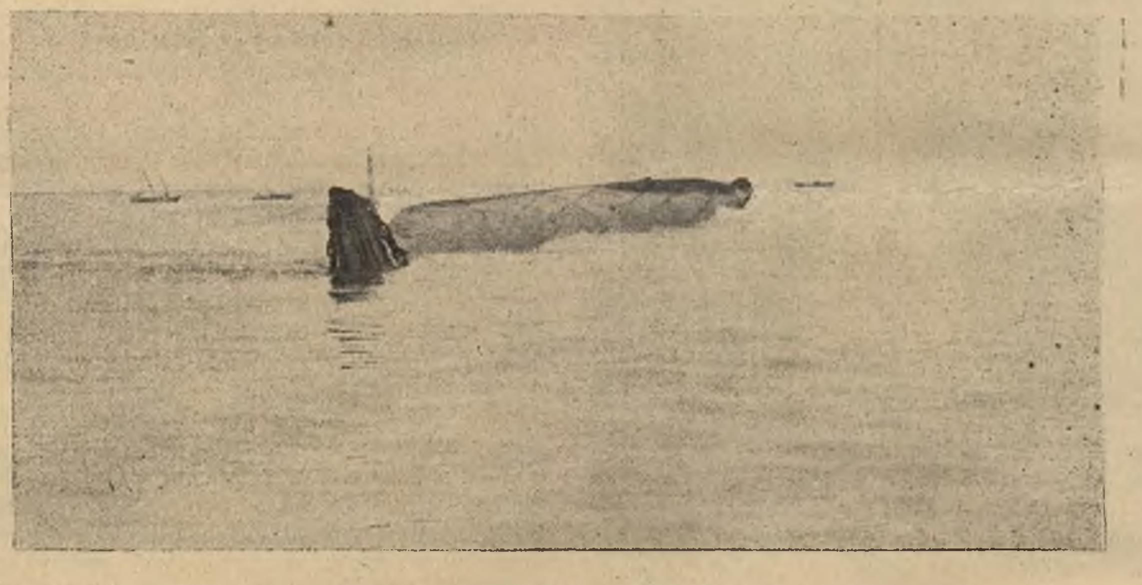
Karklin był również przewodniczącym w procesie przeciwko dwu obywatelom angielskim, których skazał na śmierć zaocznie, gdyż zdołali zbiedz.

Drugi sędzia nazywa się Gałkin. Był on za czasów caratu skazany na śmierć, lecz następnie został ułaskawiony. Natychmiast po utworzeniu najwyższego trybunału został on zamianowanym sędzią i wsławił się zwłaszcza podczas procesu przeciwko misyi francuskiej. Na jego zlecenie nie chciano dopuścić wówczas do rozpraw sądowych obrońców i wszystkich oskarżonych skazano na śmierć. Niema przestępstwa, któreby według mniemania Gałkina nie zasługiwało na karę śmierci. Komunista Glusman, przewodniczący komisyi śledczej przy moskiewskim trybunale rewolucyjnym oświadczył, że Gałkin jest chory umysłowo i że należałoby go odesłać do psychiatry przed zamianowaniem go sędzią. Okrucieństwo Gałkina przekracza wszelkie granice.

Wyrok moskiewski, będący jaskrawem pogwałceniem sprawiedliwości, spotkał się w całym cywilizowanym świecie z wyrazami zasłużonego oburzenia, z którem liczyli się nawet i sami bolszewicy, wstrzymując na razie jego wykonanie i wywożąc skazanych w niewiadomym kierunku.



**Pogłoski o zgonie Envera baszy:** Bohater narodowy turecki, Enver basza (x), ostatnio emir Turkiestanu.



**Zatonięcie francuskiego pancernika:** Pancernik *France* podczas tonięcia, które trwało trzy godziny.

## Kłopoty Niemieckiej Austryi.

Jednym z dziwolągów politycznych powojennych stała się tak zwana Niemiecka Austrya, resztka byłej monarchii habsburskiej, stworzona przez Koalicyę na podstawie traktatu pokojowego w Saint Germaine. Okrojona do ostateczności i odcięta poprostu od reszty świata, znalazła się republika austryacka w położeniu nie do pozazdroszczenia, które pogorszyły jeszcze rządy socyalistów. Z dnia na dzień wzmagała się nędza, brak najniezbędniejszych artykułów codziennej potrzeby doprowadził już kilkakrotnie do poważnych rozruchów, zaostrzając jeszcze bardziej i tak już krytyczną sytuacyę. Rozglądano się wprawdzie za środkami ratunku, a za najskuteczniejszy z nich uważano połączenie się z Rzeszą Niemiecką, na co jednak mocarstwa koalicyjne nie zezwoliły. Doszło do tego, że dzisiejsza Austrya stała się gospodarczą i finansową ruiną, a austryacka korona straciła najzupełniej swą wartość.

Ten stan rzeczy wzmógł apetyty czeskie na uzyskanie kosztem Austryi korytarza łączącego Czechy z Jugosławią, co bardzo łatwo mogło doprowadzić do poważnych konfliktów politycznych.

Nowy rząd austryacki złożony z chrześciańsko-socyalnych i Wszechniemców, a zostający pod kierunkiem prałata dra Seipla wytężył wszystkie siły w poszukiwaniu za ratunkiem. Kanclerz Seipel odbył w ostatnich czasach szereg podróży do Pragi, Berlina, Włoch, starając się wszędzie o pomoc, stanął także przed Ligą Narodów. Na razie Włochy, nie chcące dopuścić, aby Austrya dostała się pod wpływy czeskie, przyobiecały pożyczkę, wspominano także o ścisłem połączeniu obu tych państw, czemu znowu gwałtownie sprzeciwiają się sąsiedzi Austryi.

Obecne położenie Austryi przedstawił wymownie wobec Ligi Narodów prałat Seipel w swej mowie, w której oświadczył między innemi: „Liga Narodów została postawiona z powodu kwestyi austryackiej przed wielkiem zadaniem. Muszę stwierdzić, że wielkie mocarstwa i Liga Narodów niejednokrotnie zajmowały się szczegółami sytuacyi w Austryi, która odcięta od wiekowego kontaktu z krajami sąsiednimi oraz od obszarów, które ją przedtem zaopatrywały we wszelkie potrzebne surowce, musi obecnie znaleźć własne podstawy gospodarcze. Należy Austryę przedewszystkiem uwolnić od nienaturalnego zamknięcia oraz usunąć ograniczenia w komunikacyi i handlu, których nie zdołały dotąd przełamać ani ostrzeżenia konferencyi brukselskiej, ani w Portorose. Konferencya londyńska przekazała kwestyę austryacką ponownie Lidze Narodów. Należy się spodziewać, że tym razem zapadną rozstrzygające uchwały. Mocarstwa powinny udzielić potrzebnych gwarancyi, aby Austrya mogła otrzymać kredyty konieczne dla zatrzymania dalszego spadku korony, dla odbudowy oraz dla ulepszenia gospodarstwa rolnego. Mocarstwa oraz reprezentanci kapitałów zagranicznych, którzy zamierzają uczestniczyć ze swoimi kapitałami lub kredytami w gospodarczej sanacyi Austryi, nie chcą, jak mi zakomunikowano, zrezygnować z kontroli nad użyciem udzielonych Austryi kredytów. Wobec tego oświadczam, że: 1. jest rzeczą naturalną, że wymaga się takiej kontroli, 2. z powodu kontroli nie powinno się jednak naruszać niezawisłości Austryi, 3. jest również naszem życzeniem, aby kontrola nad użyciem kredytów była natychmiast podjętą, 4. kontroli możemy się jednak poddawać tylko wtedy, jeżeli równocześnie otrzymamy kredyty. Austrya uczyni wszystko, aby rozbić kajdany uciskające ją i uchronić się przed katastrofą, jaka zagraża jej w dotychczasowem zamknięciu. Niechaj Liga Narodów — zakończył dr. Seipel swą mowę — uczyni, co leży w jej mocy, aby nie zmuszać Austryi do ostateczności, i aby się to stało bez naruszenia pokoju i bez zamącenia stosunków wzajemnych między sąsiadami Austryi".

## Delegatki amerykańskie u prezydenta Milleranda.

Jak już w poprzednich numerach naszego pisma donosiliśmy, bawiła we Francyi delegacya amerykańskich kobiet, należących do stowarzyszenia „Dobrej Woli" (Good Will), którego zadaniem niesienie Francyi pomocy przy odbudowie okolic najbardziej wojną dotkniętych. Delegacya ta, złożona z kilkudziesięciu kobiet, z własnymi swymi samochodami, zwracała na ziemi francuskiej ogólną uwagę, witano ją też wszędzie nadzwyczaj serdecznie, aby w ten sposób przedstawicielkom Ameryki wyrazić podziękowanie za to wszystko, czego w ciągu wojny i po wojnie doznała Francya od Stanów Zjednoczonych.

Pomoc amerykańska była bardzo wydatną, a zawdzięczyć to należy w szczególności przewodniczącej stowarzyszenia, p. Dike i jej głównej pomocnicy p. Morgan, która odbyła po Stanach Zjednoczonych cały szereg agitacyjnych wycieczek, zachęcając swych rodaków do spieszenia z po-

mocą zniszczonej Francyi. Głos jej nie pozostał bez echa, ofiary posypały się bardzo hojnie a niejedna z francuskich miejscowości tylko swym amerykańskim przyjaciołom zawdzięcza swą rychłą odbudowę.

Obecna wycieczka delegatek amerykańskich skierowaną była przedewszystkiem właśnie do tych miejscowości, które dzięki dobremu sercu amerykańskich przyjaciół podniosły się z gruzów, witano też całem sercem swe dobrodziejki. Postępy odbudowy wywołały u Amerykanek żywe zadowolenie. Ponadto zwiedziły one były front wojenny, a następnie Paryż. Prezydent Francyi Millerand, przyjął je oficyalnie, ale bardzo serdecznie na zamku w Rambouillet. Był to zarazem pożegnalny występ delegacyi, która opuściła Francyę, udając się do swej ojczyzny. Delegatki wywiozły z Francyi jak najlepsze wrażenie, a ich pobyt na ziemi francuskiej przyczyni się do jeszcze silniejszego zacieśnięcia węzłów przyjaźni, łączących obie republiki. Wierne sojuszniczki w czasie wojny światowej, dochowują sobie Francya i Ameryka wierności i w czasie pokoju, co musi wpłynąć bardzo dodatnio na pomyślne ukształtowanie się obecnych dość niejasnych stosunków politycznych.

## Zatonięcie francuskiego pancernika.

Francuska marynarka wojenna poniosła w dniu 26 sierpnia b. r. bardzo dotkliwą stratę przez zatonięcie jednego ze swych największych kolosów morskich, należącego do okrętów najnowszego typu, naddreadnougtha nazwiskiem „France". Wypadek ten wstrząsnął głęboko całą opinią publiczną francuską, nietylko ze względu na ogromną szkodę materyalną, jaką państwo poniosło, ale także uważając ją jako jeden więcej z kłopotów i niepowodzeń, będących dziś na porządku dziennym, a sypiących się poprostu jak z rogu obfitości.

Aczkolwiek francuska flota wojenna rozporządza stale zupełnie odpowiedniemi siłami, zatonięcie pancernika *France* uczyniło w nich bardzo pokaźną szczerbę. Wiadomość o katastrofie wywołała, rzecz oczywista, u jawnych i cichych nieprzyjaciół Francyi żywe zadowolenie, w szczególności zaś u Niemców, notujących bardzo skwapliwie w swym własnym interesie każde osłabienie potęgi francuskiej.



Z Teatrów: Irena Bohus-Hellerowa, która z śpiewaczki została artystką dramatyczną.

Katastrofa wydarzyła się w wyżej wspomnianym dniu o godz. 4 nad ranem w zatoce Quiberon. *France* zapadł na 26 metrów w głąb morza.

O rozmiarach tego kolosa świadczyć może, iż proces tonięcia trwał trzy godziny. W ostatniej chwili pancernik *France* przewrócił się zupełnie do góry dnem, przedtem jednak zdołano ocalić 820 osób załogi, przyczem kapitan statku rzucił się w morze ostatni. Pancernik *France,* należący do eskadry Morza Śródziemnego, wyjechał wraz z innymi okrętami wojennymi na ćwiczenia morskie w strzelaniu do celu. W zatoce Quiberon natknął się on na nieznaną podwodną skałę, która rozdarła jego pancerz na przestrzeni 40-tu metrów. Okręt ten miał 23.500 ton pojemności. Długość jego wynosiła 166 metrów, a szerokość 27 metrów. Posiadał on motory, których siła ogólna wynosiła 26.000 koni. Gdy zważymy, że budowa tego okrętu kosztowała Francyę przed wojną, gdyż okręt ten spuszczono na morze w listopadzie 1911 roku, 70 do 75 milionów franków, to zrozumiemy, jak wielką stratę materyalną poniosła obecnie Francya. W ciągu trzech godzin poszło na dno morza 250 milionów franków, gdyż konstrukcya podobnego okrętu kosztowałaby dzisiaj taką sumę. *France* miał na pokładzie 12 dział 30-centymetrowych i 22 działa 14-centymetrowe. Na tym to okręcie 17 lipca 1914 roku pp. Poincare i Viviani podróżowali do Rosyi.

## Pogłoski o zgonie Envera baszy.

Z głębi Azyi nadeszła wiadomość, dotąd nie sprawdzona, że w Bucharze zginął podczas walk z bolszewikami najwybitniejszy z współczesnych tureckich bojowników, Enver basza, ogłoszony niedawno emirem Turkiestanu.

Ów narodowy bohater turecki dziwne przechodził życia koleje. Nie ulega kwestyi, że wmięszanie się Turcyi w wir wojny europejskiej po stronie Niemiec, było dziełem Envera baszy, który uchodził zawsze za fanatycznego wielbiciela stosunków niemieckich. Po fatalnym dla Turcyi wyniku wojny, znalazł się Enver basza w Berlinie, gdzie występował jako sympatyk ruchu komunistycznego, jako taki odbył też podróż do Rosyi, skąd z ramienia bolszewików wysłano go do południowej Azyi. Tutaj z komunisty przemienił się na tureckiego narodowca i rozpoczął walkę z wojskami bolszewickiemi, wspierany rzekomo przez Anglię. Prowadzono ją w sposób podjazdowy, ze zmiennem dla obu stron szczęściem, z widoczną jednak przewagą na stronę turecką. Podczas jednego z pościgów za nieprzyjacielem miał Enver basza, emir Turkiestanu, poledz na placu bitwy.

## Rozruchy w Havrze.

Następstwa wojny dają się dziś odczuwać na całym świecie, warunki bytu stają się dziś coraz trudniejsze, niezadowolenie wśród szerokich mas rośnie, a starają się je wyzyskać dla swych celów różne ciemne indywidua.

Francuski port wojenny Havre był w ostatnim tygodniu ubiegłego miesiąca widownią bardzo poważnych niepokojów. Ogłoszono tam bezrobocie na tle ekonomicznem, które jednak miało i głębiej sięgające podstawy polityczne. Zdaje się nie ulegać kwestyi, że inicyatorowie strajku, domagający się poprawy bytu robotników, działali w imię haseł komunistycznych, za pieniądze nadesłane z Berlina, który nie ma ich, gdy rozchodzi się o płacenie odszkodowań wojennych, ale znajduje zawsze na agitacyę w kraju swego przeciwnika.

Przyszło do starć ulicznych między gromadami bezrobotnych a policyą, przyczem straciło życie kilka osób, kilkanaście zaś odniosło rany. Strajkujący pobudowali na ulicach barykady z przewróconych wozów i rozmaitych przedmiotów, z poza których ostrzeliwali funkcyonaryuszy policyjnych, czem zmusili ich do użycia broni palnej. Dopiero przybyłe wojsko zdołało przywrócić porządek.



**Rozruchy w Havrze:** Widok jednej z ulic miasta po ukończeniu strajku.

## Z TEATRÓW

### Henryk Miller.

(Kr.) Dawny ulubieniec publiczności, „tenor" krakowskiej operetki poprzednich sezonów, obecnie bohaterski tenor opery poznańskiej p. Henryk Miller, bawi obecnie na gościnnych występach w krakowskiej operze.

Znakomity śpiewak wystąpił w popisowych swych partyach: w „Halce", „Strasznym dworze" i gwoli przypomnienia swych dawnych krakowskich tradycyi w operetce: „Róża Stambułu". Publiczność witała p. Millera z szczerą życzliwością i nie szczędziła mu objawów żywego uznania.

P. Miller przerzucił się z operetki do opery; na bieżący sezon zaangażowany został do opery w Katowicach na stanowisko pierwszego tenora.

### Irena Bohus-Hellerowa.

(Kr.) Wyborna śpiewaczka operowa, niezrównana Mimi w „Cyganeryi", Jaś w „Jasiu i Małgosi", Siebel w „Fauście" — przeszła z opery do dramatu, gdzie osiągnęła już nie mniejsze sukcesy, jak w operze.

P. Hellerowa wystąpiła w krakowskiej „Bagateli" jako księżna Capoblanca w „Wilkołaku", zdobywając sobie odrazu uznanie publiczności i krytyki.

Podajemy portret artystki, pochodzący jeszcze z czasów, gdy jako jedna z pierwszych gwiazd błyszczała na horyzoncie polskiej opery.



Z Teatrów: Henryk Miller, tenor bohaterski Opery poznańskiej.

## Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się do umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honoraryum, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych", Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Julian Bartoszewicz. Klisze własnego zakładu. Druk. D. E. Friedleina pod zarz. St. Kowalskiego